

Dziś w numerze: ● Zwykłe życie ● Walizka z muzyką ● Skandal na zamku Pumpernikiel ● Pieńkowski i poprzednicy ● Trzydzieści srebrników ● Wiosna nad Wieprzem ● Wiersze ● Felietony ● Recenzje

# Odgłosy



31 (569)  
4. VIII. 1968 r.  
16 stron  
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XI



ALEKSANDRA GAGANASZWILI

## DZIEŃ w inkubatorze

9.30. Pada zimny deszcz. Wielka żelazna brama szeroko otwarta, siedzące nad nią kamienne orły ociekają wodą. Płytkie kałuże drża od spadających kropel. Pośrodku dziedzińca na staludze czerwony, niedbały napis ogłasza konkurs dla studentów. Przed bramą co chwila zatrzymują się taksówki, wjeżdżają na dziedzińce samochody. Wsiadają młodzi ludzie, w rękach rulony papieru, bloki, biejramy. Pochyleni biegną szybko, wpadają do hallu.

— Drzwi zamykać! — krzyczy woźna, — Stale trzeba przycisnąć, jakby nie wiedzieli, że tu zimno leci i cug się robi i my tu stale marznięm.

Studenti podają wilgotne płaszczki szatniarce, pytając czy przyszedł już asystent albo profesor. Przed lustrem tłoczą się dziewczyny, poprawiają szybko włosy i makijaż. Gesty tupot nóg po schodach. Pietru, Korzytarz: z jednej strony ciemne pionowe wysokie drzwi, a z drugiej rytm jednakowych okien podkreślają perspektywę i wydłużają czarny pas podłogi.

— Cześć!

— Serwus, czolemi!

I już są w pracowni.

9.40. Stalugi poustawiano bez ładu po całej sali. Na pomazanej farbami podłodze wała się pełno sztywnych od brudu gałganów, gazet, rozdeptanych tub. Powietrze nasycone zapachem terpentyny i nieswieżego oleju.

Na podium pogniecione, kolorowe szmaty, udrapowane artystycznie. Wśród nich drzemie nagie cielsko z pocięta zmarszczkami twarzy. To wszystko pociągnięte światłem chmurnego, mokrego dnia spoza przykurzonych szyb.

9.45. Parę osób zabiera się już do malowania. Inni zastanawiają się gdzie ustawić stalugę, przeciągają te ciężkie meble z jednej strony pracowni na drugą. Klęsa się o lepsze miejsca.

Jedna z dziewcząt wyciąga z torebki mały kluczyczek i otwiera kasete. Mówi do koleżanki:

— Nie cierpię tych przygotowań: otwieranie kasety, odkreślanie tubek, wyciskanie farb na tę ohydny lepką paletę. Fu! Babraniu!

Patrzy chwile na modelkę, wraca spojrzeniem na biały prostokąt płótna i zastanawia się. Unosi pedzel i małymi ruchami próbuje naszkicować w powietrzu.

9.50. Do pracowni z wrzaskiem wpada dwóch chłopaków. Śmieją się główno. Jeden z nich, chudy blondynek, podbiega do dziewczyny, łapie ją za rękę i bełkocze:

— Tylko dychel! Pożycze! No wiesz, jak jest...

Dziewczyna wrywa rękę, odwraca się plecami. Chłopak daje znak drugiemu, że nie się nie dalo zrobić. Wychodzą trzaskając drzwiami, aż się z futryny posypało.

Dalszy ciąg na str. 5

KONRAD FREJDLICH

## Historia jednego lata

Wyglądało na to, że przyjechałem za późno: w ogródku przedszkolnym i jeszcze dalej, za chylącą się otwartą bramą na boisko szkolne nie było nikogo. A pani Szczesna, która tu strzeże wszystkiego powiedziała jeszcze:

— Oni mieli wczoraj zieloną noc.

Zaraz też tektura z odreczynym napisem „OBOZ NAUKOWY UNIwersytetu ŁÓDZKIEGO ZMS” wydała mi się nazbyt rozmoczona przez deszcz. I wtedy, gdy już chciałem zawrócić, w drzwiach frontowych ukazała się blondynka.

— „Wałka Młodych”, Warszawa — powiedziała.

— „Odgłosy”, Łódź — przedstawiłem się z takim samym spokojem.

I poszliśmy przez podwórko, zaglądając do okien, gdzie straszły już оголоcone z posćciej łóżka. Ale nie wszystkie, bo nie wszyscy jednak odjechali.

Właściwie nie powinno już tu być nikogo — pożegnalnego wieczoru nie robi się dla zabawy. Zwłaszcza takiego, z fantazją i fasonem, kiedy sad nad ranem ugina się od ciężaru garderoby powyciąganej z walizek i porozwieszanej na drzewach. Najwyżej, podobno, powiewały spodnie zatknięte na wierzchołku jabłoni, ale one przynajmniej rzuciły się w oczy. Najgorzej było ze skuterem: przepadł, jak kamień w wodę. Kluczyki do pojazdu były na swoim miejscu, schowane w kaflowym piecu. Ale magister

Baranowski, który dwuśladowcem codziennie dowozi kartofle do obozowej kuchni, nie dał się zwątpieniu — zaczął systematyczne poszukiwania od początku. Najprzód znalazł ramę z kołami, kierownicą i silnikiem. Potem w sypialni dziewcząt odszukał jeszcze obudowę.

Właściwie nie powinno już tu być nikogo, bo tak planowano na początku, kiedy dwie wysokie układające się strony, Uniwersytet Łódzki i Piotrkowska Powiatowa Rada Narodowa, podpisywały umowę nie mającą chyba u nas w kraju precedensu. Jej sens, po odrzuceniu srogich zawijaśów prawnych, da się wyrazić w jednym zdaniu: Rada sfinansuje grupie studentów wakacje w zamian za co, młodzi ludzie zbiorą materiały do pracy popularnonaukowej o robotycznym tytule „Kształtowanie się i rozwój rad narodowych w powiecie piotrkowskim”. Te finanse to trzydzieści tysięcy złotych oraz noclegi i transport, ale z nim różnie bywało.

Na noclegi, ku utrapieniu kierowniczki, Rada upatrzyła sobie szkołę w Sulejowie. No, i na początku wakacji zajęły tam dwa ciężarowe „Stary”, załadowane żelaznymi łózkami, materacami i betami. Na tym wszystkim siedziła gromadka studentów,

którzy jako pionierzy zabrali się razno do rozstawiania gratów, sprzątania szkolnych sal i przygotowywania obozowiska dla reszty uczestników. Pod wieczór pionierzy uwinęli się z robotą, rozpakowali suchy prowiant i wyskoczyli do sulejowskiej gospody popić cienkiego piwka. Następnego dnia zjechali się już wszyscy, chciałoby się napisać pięćdziesięciu chłopca, rzecz jednak w tym, że to nie byli sami chłopcy co precyzyjnie wyklada rodzimej produkcji wierszyk:

„Obóz nasz się składa  
z dwóch części nierównych —  
Oprócz historyków  
Są pedagogów”.

Za naukową stronę ekspedycji, bo była to jednak cała wyprawa, wziął na siebie odpowiedzialność dr Julian Janczak, adiunkt Katedry Historii Polski XVI—XVIII w. Miał do pomocy dr Władysława Grabskiego z Katedry Historii Wychowania i trzech innych pracowników naukowych Uniwersu.

Dalszy ciąg na str. 3





Już 14 razy spotkały się delegacje DRW i USA w Paryżu, ale w dotychczasowych rozmowach nie osiągnięto żadnego postępu. Dlaczego tak się dzieje — nie trudno ugadnąć. Po prostu Harriman i jego ekipa uparcie odmawiają bezwarunkowego przerwania bombardowań Demokratycznej Republiki Wietnamu, choć po to właśnie doszło do wstępnych rozmów. Delegacja amerykańska mówi o wszystkim innym, tylko nie o tym. W ten sposób wytworzył się impas, którego przerwanie uzależnione jest wyłącznie od USA.

Tymczasem w Wietnamie toczą się zacięte walki. Agencje w ostatnich dniach szeroko informują o dużej aktywności partyzantów, którzy przeprowadzają szereg bratrujących akcji. Walki toczą się również wokół Sajgonu. Wojska powstańcze celnie ostrzeliwują z rakiet i moździerzy ważniejsze punkty oporu interwencji.

Przebieg tych walk raz jeszcze wskazuje, że nie może być mowy, czym wciągnie się ludzi Waszyngton, o militarnym złamaniu oporu narodu wietnamskiego. Pozostaje więc rozwiązanie polityczne, któremu drogę może utrudniać jedynie zaniechanie aktów agresywnych wobec DRW.

Niektórzy komentatorzy zachodni, wyciągając wnioski z dotychczasowego przebiegu paryskich spotkań, nie wykluczają możliwości przerwania rozmów. Nie wydaje się to prawdopodobne, zważywszy nieodległy termin wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych. Obecnej ekipie rządowej, którą najprawdopodobniej w wyborach reprezentować będzie Humphrey, taki bieg wydarzeń byłby nie na rękę.

Tym bardziej że sytuacja wewnętrzna w USA wydaje się dalej komplikować. Mam tutaj na myśli nie tylko nowe zapowiedzi „gorącego lata” — przykład Cleveland, o których to wydarzeniach obszernie informowała prasa codzienna, ale i zarysowujący się rozłam w partii demokratycznej. Z doniesień z USA wynika, że znaczna część członków tej partii jest zdania, iż Humphrey nie jest dobrym kandydatem na prezydenta — ślepo popiera posunięcia Johnsona i dla milionów Amerykanów jest synonimem wojny wietnamskiej. Jako że nie daje się poważniejszych szans — drugiemu kandydatowi z ramienia demokratów — McCarthy'emu — szala przechyla się podobno w kierunku republikanów, a więc Nixon. Stwierdzają to również ankiety przedwyborcze. Wszystko to uprawia w wielkie zakłopotanie kierownictwo partii demokratycznej, a termin konwencji zbliża się wielkimi krokami.

Ale powróćmy na kontynent europejski. W ostatnim okresie niezmiennie utrzymuje się zainteresowanie rozwojem sytuacji w Czechosłowacji, zwłaszcza zwraca uwagę wzmożona prowokacyjna działalność NRF. Schroeder w pobliżu granicy z CSRS zamierzał zorganizować manewry wojskowe, Johnson wystąpił z propozycją przedłużenia pobytu w USA ministrów: Schroedera i Straussa, aby przedyskutować z nimi wydarzenia w Czechosłowacji, przedstawiciele kół rządzących w Bonn otwarcie i incognito wyjeżdżają do Pragi, a prasa zachodniemiecka podejmuje jawną ingerencję, w listach i innych publikacjach domagając się... ustąpienia niektórych osobistości czechosłowackich. Wszystko to razem wskazuje, że odwetowcy zachodniemieccy wiążą duże nadzieje z rozwojem wydarzeń w Czechosłowacji.

„Za receptami na „wolność” i „demokrację” — pisze boński korespondent „Prawdy” — z jakimi Bonn pcha się teraz do Pragi, kryją się najbardziej niebezpieczne plany eksportu kontrrewolucji i kapitalizmu. Celując w ten kraj zachodniemieccy imperialiści chcieliby zadać cios całej wspólnotce socjalistycznej i ideom komunizmu”.

Wysoka aktywność Bonn jest najlepszym potwierdzeniem zasadności wspólnego listu pięciu partii do CSRS, o którym pisaliśmy w ub. tygodniu. Na list ten odpowiedziało Prezydium KC KP Czechosłowacji oświadczeniem, w którym — w końcowej jego części — ponowiono propozycję przeprowadzenia w najbliższym czasie dwustronnych rozmów, „w toku których zostałyby w szczególności omówione możliwości wspólnego spotkania krajów socjalistycznych, jak też jego program, skład, miejsce i termin”. W pierwszej kolejności — jak potwierdzają agencje — dojdzie do takiego spotkania z pełnym składem Prezydium KC KPZR.

Z innych wydarzeń ostatniego tygodnia odnotujemy:

otwarcie IX Festiwalu Młodzieży i Studentów w Sofii, w którym udział biorą delegacje 142 krajów z pięciu kontynentów. Polskę reprezentuje 230-osobowa delegacja. W złożonej sytuacji międzynarodowej, wobec licznych niepokojów na różnych kontynentach — pokojowa manifestacja młodzieży ma szczególnie istotne znaczenie. Przebieg festiwalu obserwować będziemy z zainteresowaniem, na jakie zasługują to wielkie zgromadzenie młodzieży;

oraz zapowiedź zwołania XXIII sesji Zgromadzenia NZ, która rozpocznie się na 24 września. Wstępnie ustalony porządek dzienny przewiduje 90 pozycji. Z ogłoszonego programu obrad wynika, że szczególnie wiele punktów porządku dziennego związanych będzie z rozbrojeniem. M. in. Komitet Rozbrojeniowy („komitet 18”) przedłożył ma raport, dotyczący powszechnego rozbrojenia oraz rozwiązań częściowych. Z tym punktem chcielibyśmy wiązać nadzieje.

W. SŁAWSKI

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

## ZWYKŁE ŻYCIE

(REPORTAŻ  
WYRÓŻNIONY NA KONKURSE „ODGŁOSÓW”)

1.

Mineły tylko 3 lata, ale mimo tak krótkiego czasu, nikt jakos nie pamięta, dlaczego tak postąpili, jaki im przyswiecał cel, i kto podsunął pomysł.

— Zresztą, czy to jest ważne — Bolesław Królikowski sam nie jest tego pewien, i aby ukryć zmieszanie, pilnie szuka w posmoleonym notesie zapisanych tam przed trzema laty słów. Nie znajduje ich i podnosi oczy na Nowaka. Niech wreszcie coś powie.

Stanisław Nowak wzrusza ramionami.

— Co tu mówić? Po prostu dobraliśmy się. Dobrze nam z sobą. W pracy to chyba najważniejsze.

Jest ich pięciu. Dwóch pracuje na pierwszej zmianie, dwóch na drugiej. Stanisław Nowak pracuje raz na pierwszej, raz na drugiej.

Jest ich pięciu. Poza Nowakiem jest Kazimierz Materka, Andrzej Olejnicki, Józef Cieślak i Zdzisław Bogiel. Pięć najwykniejszych, najbardziej typowych życiorysów.

2.

Zaczęło się od cukrowni „Walentyńców”. Kutnowskie bogate jest w buraki. Cukrownie powstawały i upadały. Taki był m. in. los „Walentyńców”. Cukrownia nie istniała długo. Po jej likwidacji na osiedle przyszyły ciężkie dni. Niektórzy emigrowali w poszukiwaniu pracy, inni zajęli się rzemiosłem. Żyli w oczekiwaniu na jarmark. Na brudnych placach rozkładali rezultaty swojej pracy. Kiedy to nie przynosiło profitu, wędrowali po okolicznych wsiach, oferując rzemieślnicze wyroby.

Pozostałość „Walentyńców”, budynki i tanioci siły roboczej zainteresowały akcjonariuszy szwajcarskiej firmy „Brown-Boveri”. Jej przedstawiciele przyjechali w 1923 roku na rekonesans do Zychlina. Wypadł widać dobrze, bo już pod koniec tego roku rozpoczynają tu działalność, pracując na licencji „Brown-Boveri” — Polskie Zakłady Elektrotechniczne.

Dość szybko rośnie ich załoga. W 1925 r. powstaje w Zychlinie oddział Związku Zawodowego Metalowców. Rozwija się życie kulturalne. Powstaje — założona na strychu — biblioteka „Pod dachówką”. Działa zespół teatralny.

Polskie Zakłady Elektrotechniczne upadły w czasach wielkiego kryzysu. Istniały tylko do 1931 r. Dla mieszkańców Zychlina oznaczało to koniec dobrych czasów. Znowu przyszło bezrobocie, emigracja, zaczęło się poszukiwanie pracy.

Zmianę przyniósł 1933 r. W Zychlinie powstała filia Zakładów Elektrotechnicznych Rohn i Zieliński. Jest to zmiana iluzoryczna. Spółka Rohn i Zieliński płaci mniej niż inne firmy. Przyjmuje tylko na kilka tygodni. Zdejmuje sobie sprawę, że na miejsce jednego niezadowolonego czeka dziesięciu bezrobotnych. Niezadowoleni nie rezygnują. W sierpniu 1936 r. wybuchła czterdziestoletni strajk okupacyjny. Kordon policyjny otacza fabrykę. Rodzinom robotników pomaga cukrownia „Dobrzeliń” i Spółdzielnia „Społem”. Płynię — choć skromna — pomoc dla zamkniętych w fabryce. Nie wszyscy jednak wytrzymują. Żychlińscy robotnicy nie mają jeszcze rewolucyjnych doświadczeń.

Strajk upada. Rohn i Zieliński przynajmniej podwyżkę 5 gr za godzinę, zaledwie 85 robotnikom — na 650 pracujących.

Wolność otrzymał Zychlin 18 stycznia 1945 r. Z miejsca przystąpiono do odbudowy fabryki. Nie było żywności, pieniędzy, surowców. Był zapal i radość, że znowu można mówić po polsku, że na fabrycznym dachu powiewa biało-czerwona chorągiew. W kilka lat potem, w czasach, kiedy panowała moda na numerowanie fabryk, zakładom w Zychlinie nadano symbol „M” i numer — „1”. Dowód uznania dla najstarszego ośrodka polskiego przemysłu elektrotechnicznego.

3.

Nie potrafi wymienić dat i nazw. Nie przywiązują do tego zbyt wielkiej wagi. Mają przy tym poczucie znaczenia i roli zakładu. Wiedzą, że „Emit” — bo tak teraz nazywają się Zakłady Wytwarzające Maszyny Elektryczne i Transformatorów im. W. Piecka w Zychlinie — leży się na gospodarczej mapie Polski, że w hierarchii przemysłu elektrotechnicznego decyduje nie tylko „jedynka” — znamionująca chwałę przeszłość, ale również to, co sami tworzą — teraźniejszość.

Olejnicki mieszka w bloku. Bogiel przeprowadził się do Janowa, do teściowej — stwierdza z odrobiną smutku Stanisław Nowak. — Ma 4 km do fabryki. Zima — jak kto się uprze, też można dojeżdżać rowe-rem. Cieślak mieszka w blokach cukrowni „Dobrzeliń”, tam pracuje jego ojciec. Materka z bratem mieszka w teściowej. Pożenił się z siostrami. Materka zapisał się do spółdzielni. Tylko ja mam najgorzej — konstataje Nowak — mam pecha.

Nowak mieszka z żoną i dwoma chłopcami w pokoju o powierzchni 18 m kwadratowych. Ani gdzie chłopcom odrabiać lekcji, ani spotkać

się z kolegami, telewizora postawić, z żoną o sprawach wielkich i małych porozmawiać.

Ten pech to może i Wujko Stanicki. Dobry towarzysz, już na rencie — jak mówi o nim Stanisław Nowak. Z uporem odrzuca natrętą myśl. Nie przynajmniej się do tego, ale czasem, kiedy wraca późno do domu i słyszy przez saszki okna głos pana Suzina czy Rosolowskiego, co to dziennik lub filmy ludziom tłumacza, to przez chwilę myśli sobie, że gdyby nie Wujko Stanicki, to wszystko ułożyłoby się inaczej.

— Żona nie pracuje — tłumaczy swój pech kolegom — gotuje i sprząta Wujowi Stanickiemu. Płaci jej za to niewiele. Przecież to krewny. Jest sam. Potrzebuje opieki. Rodzinny to obowiązek. Dlatego nie mogę starać się o przyjęcie do spółdzielni. Zarobki mam niższe od normy. Nie dałbym rady spłacać rat. Czekam na kwaterunkowe. Już miałem dostać, ale nie wyszło.

Przewodniczący MRN — Redziejowski już obiecał. Interweniował i sekretarz KZ PZPR w „Emitce” — Pawlik. Nadarzyła się okazja. Kłóć przeprowadził się do Piecka. Zwolniło się mieszkanie. Wszystko było na dobrej drodze, gdy któregoś dnia wpadła do domu zadyszana Nowakowa żona.

— Oszukali cię — krzyknęła od progu — do naszego mieszkania ktoś się wprowadził.

Włożył kurtkę i poleciał. Przed blokiem stał wóz. Ludzie wnosili rzeczy. Poszedł do Komitetu Zakładowego PZPR. Pawlika nie było. Pojechał do Łodzi. Kto poza nim mógłby przeciwstawić się autorytetowi przewodniczącego Prezydium MRN?

— Daj pierwszeństwo swojej pracownicy — mówił później Nowak. — Zawsze koszuła bliższa ciatu.

Zychlin liczy 8.300 mieszkańców. W Prezydium MRN leży 420 wniosków na mieszkanie. Szesnaście domów trzeba rozebrać. Moga się zwalić. Rozebrać — łatwo powiedzieć, ale w praktyce znaczy to dać ludziom 61 mieszkań. Ostatni blok wybudowano w 1962 r. Spółdzielnia mieszkaniowa rozpoczęła budowę bloku dla 70 rodzin. Mówi się, że RN będzie budowała dopiero w 1970 roku. Czy rzeczywiście? Czy do tej pory znajduje się przedsiębiorstwo budowlane, które podejmie się prac? Budowę bloku spółdzielczego włączyło do planu Kutnowskie Przedsiębiorstwo Budowlane. Nie należy ono do najsilniejszych w województwie. Jak będzie z terminami?

— Mamy teraz kurs na pracowników wykwalifikowanych — zastanawia się Nowak. — Znałem się. Złobede wyższe kwalifikacje. Jeśli nie się nie zmienić, to pojeżdż do jakiejś budującej się fabryki. To zawsze jest szansa. W Zychlinie w taki sam sposób zaczynamy.

4.

Ojciec Stanisława Nowaka zmarł w pierwszym roku wojny, kiedy chłopak miał 5 lat. Zbyt nie stracił odczuć. Trochę popłakał, pożałował zmarłego, pomartwił się z matką, co będzie dalej i szybko o wszystkim zapomniał. Szkoły nie skończył. To nie były czasy do nauki. W 1948 r. — ukończywszy 14 lat —

Dalszy ciąg na str. 3

## LISTY do REDAKCJI

JESZCZE O OPOLU!

W „Odgłosach” z dnia 14. VII. 1968 r. przeczytałam artykuł redaktora Andrzeja Makowieckiego pt. „Opole po raz szósty”, a w tym artykule bardzo pochlebna recenzję z „męskiej” części festiwalu oraz zupełnie pogrzebienie „żeńskej” w osobach pp. Rolskiej, Tutinas i Rawik. To nie byłoby ostatecznie nie specjalnie interesującego, gdyż „de gustibus non est disputandum”, chociaż artykuł w prasie winien być raczej bezstronny.

Natomiast sugerowanie inteligentnej widowni opolskiej, iż wolała (cytuje): „Rolska do tablicy — dając wyraz swemu przekonaniu, że właściwe miejsce tej pani jest raczej w radiowej szkole, a przecież o to przede wszystkim chodzi, aby właściwi ludzie byli na właściwych miejscach, no nie?” — jest bardzo brzydkim chwytem.

Jestem starszą kobietą, dużo widziałam i rozumiem wiele spraw tego świata, ale mogę wymagać, aby ludzie kulturalni zachowywali podstawowe normy współżycia społecznego.

Czy szczyry aplauz widowni i dowcipne nawiązanie do popularnych „Podwieczorków przy mikrofonie” — zostało uczelnie odczytane przez P. Redaktora Makowieckiego, jako obelżywe odesłanie „tej pani” (cytat z artykułu), czyli Rens Rolskiej do (cytuje) „szkoły radiowej”? Przecież to są kłyny ze zdrowego rozsądku.

Ogólne potępienie występów ko-

biecych jest prawdopodobnie kwestią temperamentu, czy też skłonności Pana Redaktora, i za to, myślę, nikt go nie będzie bić orczykiem, jak to podobno było w stosunku do P. Grześkowiaka, którego kultura „Panien z Cielbora” jest akurat na poziomie omawianego artykułu P. Red. Makowieckiego. I jedno i drugie budzi niesmak i nieprzyjemne uczucie uczestniczenia w jakichś osobistych rozgrywkach.

Rena Rolska jest piosenkarką b. kulturalną, uzdolnioną i niesłychanie sympatyczną, lubianą przez szeroką widownię, czy to się Panu Redaktorowi Makowieckiemu podoba, czy nie.

Cytowany i omawiany ustęp artykułu P. Red. Makowieckiego jest bicieciem kłonicą po głowie bezbronnej człowieka, piszę „kłonicą”, dlatego, że jest to w stylu twórczości p. Grześkowiaka, który zyskał sobie tak wielką sympatię P. Redaktora.

Omawiany artykuł doszedł do moich rąk dopiero dzisiaj i natychmiast usiadłam, aby z P. Redaktorem polemizować i poprosić, aby w przyszłości starał się być bezstronny, swoje osobiste uprzedzenia, jeśli je już musi uzewnętrznić — podawał w formie, zgodnej z logiką i nie starał się ze zjadliwą ironią i niegrzecznością narzucać swoje zdanie publiczności, ani sugerować jej własnego zdania, podawanego w formie voxu populi, co nie miało miejsca. GDYBY PUBLICZNOŚĆ OPOLSKA MYŚLAŁA ISTOTNIE TAK, JAK TO SUGE-

RUJE P. REDAKTOR MAKOWIECKI — NIE ZMUSZAŁABY RENS ROLSKIEJ DO BISU, A RACZEJ GWIZDAMI OBJAWIAŁABY GNIEW LUDU, KTÓRY WŁAŚCIWIE ZOSTAŁ ZREDUKOWANY DO GNIEWU PANA REDAKTORA ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO, którego przyczyną zna tylko On.

Dziwię się, że tak popularna gazeta, jak „Odgłosy” dopuszcza na swe łamy wszystko, nawet opluwanie kobiety, która na to nie zasłużyła, która jest lubiana i ceniona.

Nie wiem, czy „ta pani”, czyli Rena Rolska, zwróci uwagę na artykuł P. Red. Makowieckiego i Jego, mówiąc najdelikatniej, nietakt, ale ja i wiele osób z mego środowiska jesteśmy głęboko urażeni i pełni niesmaku.

Nie taka droga prowadzi do kultury w stosunkach ludzkich, a chęć wyżycia się przez P. Redaktora można zastosować w innej formie i na innym miejscu, tym więcej, że w Opolu oceniane były przecież piosenki, a nie ich wykonawcy.

MARTA KARCZEWSKA

Piotrków Tryb., dnia 23. VII. 1968 r.

OD REDAKCJI:

Już od dawna szczerze radziłszy znanemu z antyfeminizmu kol. Makowieckiemu, by nie zadzierał z kobietami. No i proszę — wyszło na nasze.

Ale — po prawdzie — to i nam lepiej podobał się Grześkowiak niż sympatyczna, kulturalna i uzdolniona p. Rolska. Cóż robić! De gustibus non est disputandum.



## Historia jednego lata

Dalszy ciąg ze str. 1

Ale tak naprawdę, z początku, za wychowywanie studentów zabierała się pani Szczesna, która tu w Sulejowie bacznie na wszystko: — Zeby mi tylko nie było deptania kwiatów — uprzedziła, patrząc z troską na wypielęgnowany przez siebie ogródek.

Ale studenci co innego mieli akurat na głowie. Od rana zajeżdżali pod szkołę samochody i wiara cały dzień odbijała się po terenie. Jeździli po gromadach i do powiatu, wdrapywali się na stryżki, sortując stare papierzyska, lykali kurz jak w tej balladzie, która sami ułożyli:

„Bo tu mało śpimy,  
W archiwach siedzimy”.

Po trzech dniach sprzykrzyło się to niektórym, zaczęli sarkać, grozić wyjazdem, ale nikt nie wyjechał. Owszem, denerwował się, że co to za wypoczynek, obóz pracy a nie wakacje. Aż pani Szczesna nie wytrzymała i któregoś dnia ku wszystkich niepomiernemu zdziwieniu rzekła ze szczególnego serca:

— Możecie korzystać z przedszkolnych huśtawek. Ale tylko ci szczupli — poprawiła się od razu.

I przyrzekała im się uważnie, takim matczynym wzrokiem. Wszyscy byli szczupli, z wyjątkiem jednego. Wtedy pani Szczesna założyła się swych słów i zorganizowała kuchnię. Był to już, jak to się mówi, ostatni dzwonek, bo wszystkim mocno dokuczyły knajpiarskie obiady.

A dr Janczak narzucił swoim podopiecznym mocne tempo, bo miał przeorać cały powiat „w czasie i przestrzeni”. Było tam prawie wszystko: terror hitlerowski i ruch oporu w czasie okupacji; organizatorzy i działacze rad narodowych; konspiracyjny aparat władzy ludowej. A to dopiero część badań. Bo jeszcze mieli zdokumentować gospodarce i społeczne skutki okupacji, prześledzić rozwój rad narodowych Ziemi Piotrkowskiej od pierwszych dni wolności aż po dni ostatnie, szczegółowo odtworzyć przebieg reformy rolnej, referendum z pierwszych wyborów do Sejmu Ustawodawczego, to wszystko, co sprawiło, że Polska stała się ludowa.

Dowiedziałem się tego, jak tylko wróciłem. Dr Grabski wyciągnął zeszyt i dał mi do odpisania plan zajęć obozowych. A komendant, Piotr Krakowiak powiedział na wstępie:

— Było już pożegnanie, ale zostajemy jeszcze kilka dni.

— Ładnie tutaj — wyraziłem swój poglad.

— Tym gorzej, bo czeka nas jeszcze moc pracy. Wycygnaliśmy właśnie w zarządzie pięć tysięcy na kontynuowanie badań.

I poskarżył się zaraz:

— Bilety nas zjadły. Opłaty za przejazd pekaesem. Choć często przychodziło nam chodzić piechotą. Czasem ktoś zlitował się przygodnie, motocyklem podwoził.

Zużyte bilety trzyma w szafie naklejone na osmiu kartonach.

Szkoda że nie ma na nich, jak to się praktykuje na kolei, nazw miejscowości, do których wiodły obozowe szlaki; same tylko ceny. Ale dr Janczak zaspokaja moja cieka wość w tym względzie prowadząc mnie do

pokoju, w którym gromadzi się plony ekspedycji. Są tam teckie papierowe i luźne papiery, a także tekturowe pudełka z fiszkami. Dużo tego, bardzo dużo. Taki choćby temat jak tajne nauczanie rozpracowany jest na 1.200 fiszkach w oparciu o akta weryfikacyjne. A studenci przebadali całe archiwum Powiatowej Rady w Piotrkowie i gromadzkie stryżki, akta personalne i akta dotyczące strat materialnych w okresie okupacji, przeprowadzili prawie trzydzieści wywiadów dotyczących tego okresu i nieco późniejszego, kiedy już tworzyła się władza ludowa.

A oto dla przykładu fragment protokołu z drugiego posiedzenia organizacyjnego Powiatowej Rady Narodowej, które odbyło się 27 sierpnia 1944 r. w miejscowości X (oryginał tego dokumentu trzyma u siebie w pancernej szafie przewodniczący):

„Na wniosek Leona postanowiono powiadomić Dowództwo AL w sprawie atakowania przez lotnictwo armii ZSRR — nie atakowania poszczególnych jednostek transportu kolejowego będących w ruchu, natomiast atakować skupiska transportów w miejscu postoju i względnie obiektów wojskowych”

Ten protokół spisany na ziemiach zajętych jeszcze przez wroga, w warunkach głębokiej konspiracji, nosi znamiona swego czasu. Nie jest zbyt poprawny gramatycznie, bo Ludowa budowali ludzie prości, ale znać w nim gospodarską troskę o tereny, które niebawem miały zostać wyzwolone. Bo nastroje były wtedy już dobre, w powietrzu wisił koniec wojny i młodzi garnęli się do partyzantki. W protokole krótko ujęto te nastroje:

„Komendant Powiatu Garnizonów BCH stawia wniosek o dobrojenie tutejszych garnizonów BCH motywując silnym wpływem młodzieży wiejskiej do walki z okupantem”

Przeczytałem to sobie i zaraz pytam studentów o największe przeszkody w ich pracy. A oni mówią: wywiady. Wywiady były najtrudniejsze, wymagały sprytu, taktu i tak zwanego psychologicznego podejścia.

Dowiedzieli się na przykład, że w gromadzie Ręczno żyje pierwszy wójt z ramienia PPR, więc nie namyślalić się skorzystał z okazji i podjechał kawalek aprowiza cyjnym „Starem”, który wiozł jakieś wiktuały do giesu. Potem, już na wsi, rozpytał się o wójtowską zagrodę. Ale gospodarza nie zastali, była tylko córka.

— W polu robia — powiedziała.

— Daleko? — zapytał nie okazując zniecierpliwienia.

Ale to nie było daleko i dziewczyna zaoferowała się, że pójdzie sprowadzić ojca. Studenci powlekli się za nią, a między staniem, a ich przewodniczka walił śmiało do faceta w białe koszułki. Coś tam szeptała i za chwilę wraca, ale sama.

— Nie, to nie tatuś, zdawało mi się tylko — powiedziała do studentów nie patrząc im w oczy.

A oni patrzyli na tego mężczyznę w białej koszułki na polu, aż poczuł się nieswojo i przysnął w zagajniku.

Wice studenci wycofali się pod wiejski sklepik, wzięli sobie piwko dla pozorów i zaczęli obserwować niby od niechcenia wójtowską zagrodę. Nie minęło dwadzieścia minut jak im na obojku mignęła biała koszułka gospodarza. Wice puścili się biegiem do furki. Wtedy wójt wyszedł do nich.

— Czego? — pyta.

— Tumaćca.

— Jak wszystko powiem, to wam notatki podra — stwierdził wójt autorytarywnie. Ale był zadowolony, że ktoś się zainteresował jego osobą.

Chodząc na wywiady w maleńkich grupkach, po trzy, cztery osoby. Czasem pozwa lano im wejrzeć w dokumenty prywatne, listy, pamiętniki. Zrobili sobie wyciąg ze wspomnień Nostalczyka ps. Cygan, który na 180 stronach opisuje walkę z bandami. Szef Kedywu, dzisiaj nauczyciel piotrkowski prof. Trybus poddyktował im relacje na czterdzieści ci kartek. Oglądali grypsy, okupacyjne świa



dectwa szkolne, konspiracyjne dokumenty dotyczące rozstrzelanych.

Były i trudne momenty. Stara nauczycielka, emerytka, która nauczala podczas okupacji powiedziała na wstępie:

— Ja sobie panów z tych kompletów nie przypominam.

Potem odwiedzili małżeństwo działaczy z pierwszych dni po wyzwoleniu. Przyjeżdżali z honorami. Zaczęli pytać.

— To było tak — powiedział mąż.

— Nie, to było tak — wtrąciła żona.

Aż wynikła z tego potyczka słowna między małżonkami.

— Przy mezu nie powiem — oświadczyła wreszcie bardzo już zdenerwowana pani domu. Wice mężczyzna ustąpił, wyszedł do drugiego pokoju.

Stare emocje odżywały po latach. Ludzie mieli łzy w oczach. Studentom także udzielało się wzruszenie. Przyjechali tutaj do Sulejowa, aby praktycznie zapoznać się z warsztatem pracy historyka — poznawali żywych ludzi z krwi i kości, często już zapomnianych, którzy z największym prześwieczeniem oddawali dla nich sprawy tamtych dni. W archiwach także nie było powodu do narzekania. Rozgrzebywali stopy makulatury, lykali kurz, ale często czekała ich nagroda, kiedy z takiego kopca papierów udawało im się wyciągnąć jakiś niezwykle

interesujący dokument. Wice nazywali swoje studenckie lato „obozem pracy”, ale już bez złości, a kiedy w sulejowski poniedziałek targowy nie udało się im dostać do autobusu nikt nie poszedł nad rzekę — porozkładali zeszyty i zaczęli porządkować swoje notatki.

Dla siebie mieli tylko wieczory, w Klubie „Ruchu”, albo nad Pilicą, w „Polanie”. I wieczne wędrowki na poczte, bo korespondencja przychodziła na poste restante. A rano znowu zajeżdżali samochody.

Dr Janczak nie miał powodu do narzekania, denerwował się tylko lekarz obozowy pan Krzysztof Buczyliko, tegoroczny absolwent WAM, który społecznie przyjął na siebie obowiązki czuwania nad zdrowiem ekiby. Zaaplikował kilka zwolnień z zajęć, ale pacjenci zrywali się z łóżek i mimo wszystko wyjeżdżali w teren. Wice doktor obozowy często zostawiał „szpitalik” pod opieką pani Szczesnej i zabierał się z ekspedycją. I cieszył się jak wszyscy, kiedy w szafie dr Jan czekał pechniawy materiał do monografii.

Ale to dopiero początek. Po wakacjach czeka ich opracowanie zebranych plonów. Umowa wysokich stron przewiduje dość krótki termin. Czy zdąży?

Dr Janczak nie odpowiada. Uśmiecha się tylko.

KONRAD FREJDLICH

## ZWYKŁE ŻYCIE

(REPORTAŻ  
WYRÓŻNIONY NA KONKURSIE „ODGŁOSÓW”)

Dalszy ciąg ze str. 2

poszedł na naukę zawodu. Został uczniem piekarskim. Długo miejsca nie zagrzebał. Potem objął się, laził z gromadą rówieśników po ulicach, wystawał na rogach, zaczął dziewczęta, i czekał. Na co? Na lepsze czasy, kiedy nie trzeba będzie pracować. Nie trwało to długo. Lepsze czasy nie nadechodziły. Trzeba było na chleb zarabiać. Rozejrzał się więc za czymś. Właśnie rozbudowywano zychlińską fabrykę. Chętnych do pracy poszukiwała „łódzka firma elektromontażowa”. Poszedł. Przyjął. Zaczął budować halę montażową, w której dziś pracuje. W Zychlinie jednak nie murarka czy monterka są marzeniem chłopców. Tutaj liczy się zawód metalowca. Złożył podanie do „M-1”. Przyjęto go. Zajął uczyć się tokarki. Był rok 1952. I tak został tokarzem.

— Praca nie najczystsza. Nie wiem, co mi chłonec wybiorą — zwierza się w chwili szczerości, ale chciałbym, aby tu zostali. Przy fabryce jest szkoła. W mieście jest Technikum Elektrotechniczne. Mogą zdobyć zawód i praktykę. Jak be-

da potem chciały uczyć się dalej. Ich sprawa.

Nastarszym w brzygdzie jest Kazimierz Materka. Urodził się w 1933 roku w Zychlinie. Tu skończył szkołę podstawową. Przez jakiś czas był na utrzymaniu rodziny. Potem zabrał go do hufców „Służby Polsce”. To była krótka, lecz dobra szkoła. Wrócił i poszedł do „M-1”. W podaniu napisał:

„Pracować nauczyłem się w hufcu „SP”. W rodzinie jest nas 6 osób. Ojciec wiele nie zarabia. Muszę mu pomagać”.

W 1953 r. złożył egzamin kwalifikacyjny. Najpierw pracował jako tokarz rewolwerowy.

— Jest diabelnie pracowity — mówi o nim koleży. — Można na nim zawsze polegać. Spokojny i upar ty.

Zdzisław Bogiel, Andrzej Olejnicki i Józef Cieślak żywciorysy mają nadzwyczaj proste. Ukończyli zychlińską szkołę zawodową, poszli do

fabryki na praktykę. Odbili staż i zostali. Są członkami ZMS. Nowak, Materka i Olejnicki należą do partii.

6.

Tradycyjnie od kilku lat, w maju, ulicami Łodzi i drogami Ziemi Łódzkiej, przez miasta i osady, jeździ Sztafeta Metalowców. Jej zadaniem jest zebranie zobowiązań podejmowanych przez pracowników zakładów przemysłu metalowego i elektrycznego. W tym roku Sztafeta Metalowców miała szczególnie uroczysty charakter. Zbierała zobowiązania podjęte z okazji zbliżającego się V Zjazdu PZPR. Załoga „Emitu” postanowiła przekroczyć zadania o 4 miliony zł. Da oza planem 10 transformatorów po 4 MVA dla ZSRR, również dla tego odbiorcy 210 prądnic wagonowych i prądnic do agregatów spawalniczych dla Demokratycznej Republiki Wietnamu.

Dodatkowo — to ładne słowo. Dla ludzi „Emitu” ma ono nieco inne znaczenie. Mogą wykonać dodatkową pracę w ramach normalnego czasu pracy. Potrzeba do tego drobności — rytmicznego spływu materiałów i części. Gdy zabraknie rytmiki, zmienia swój sens słowo „dodatkowe”. Znaczy już nie dodatkowa produkcja, ale i dodatkowe godziny.

Są Brygada Pracy Socjalistycznej. Niedawno otrzymali tytuł. Brygadzie nadali imię Hanki Sawickiej. Opiekuje się nimi majster — Stanisław Czajkowski.

W okresie od 1967 r. — pisze on w dzienniku brygady — żaden z członków brygady nie spóźnił się, ani nie opuścił dnia pracy bez usprawiedliwienia. W tym czasie nie zdarzył się żaden wypadek przy pracy. Andrzej Olejnicki i Stanisław No-

wak udoskonalili przyrząd do krepowania kótek od spawarek wrocławskich, co przyspieszyło ich wykonywanie.

Stanowiska pracy członkowie brygady utrzymują wzorowo. Ukończyli kurs bhp. Stanisław Nowak w 1967 roku otrzymał „uprawnienia do samokontroli”.

Organizacja partyjna oceniając niedawno wyniki pracy fabryki, stwierdziła m. in., że istnieje szczególna potrzeba wnikliwego rozważania okoliczności, w których przyznaje się prawo do samokontroli.

— Trzeba przyjąć zasadę — mówiono — przyznawania tego przywileju pracownikom wykwalifikowanym i o dużym stażu pracy.

Prawo do samokontroli — prawo do oddawania wyrobów bez sprawdzania ich przez pracowników DKT — działu kontroli technicznej — można szybko utracić. Stanisławowi Nowakowi to nie grozi.

7.

Nie zdają sobie sprawy z wielkich słów, jakie się mówi o nich i przy okazji oceny ich pracy. Wpływ wychowawczy, kolektyw, współpraca, wzajemna odpowiedzialność — znają to ze słyszenia. Im się po prostu razem dobrze pracuje.

W Radzie Zakładowej każdy ich sukces zamienia na punkty, sumują i mówią, kto produkuje w tym miesiącu, w kwartale, w półroczu.

Wykonają plan — 100 punktów. Przekroczą go o jeden proc. — dodatkowo 3 punkty. Za każdy brak odlicza się 5 punktów, a przecież braki zdarzają się najchętniej. To samo za każdy dzień nieobecności bez usprawiedliwienia, za spóźnienie — odejmują się 2 punkty. Za zgłoszony i wprowadzony pomysł racjonalizatorski dodaje się 5 punk-

tów. I tak wszystko, co zrobia, lub czego nie zrobia, zamienia się im na punkty.

Józef Cieślak nim przyszedł do brygady, otrzymywał upomnienia i uwagi. Za palenie papierosów i brud na tokarce. Stanisław Nowak szkołę podstawową ukończył dopiero w 1957 r. — już jako robotnik „M-1”. Teraz myśli o dalszej nauce. Zdzisław Bogiel co drugą sobotę jeździ do Łodzi, gdzie uczy się w Technikum Elektrycznym. O dalszej nauce myśli Olejnicki.

— Gdyby tak — stwierdza mimochodem Stanisław Nowak — u nas w fabryce zorganizowali naukę dla zaocejących. Już próbowali, ale jak-koś nie wyszło. Gdyby więc tak tu...

Czym zasłużyli na wyróżnienie? Nie zrobili niczego nadzwyczajnego, niczego nie odkryli, nikomu nie uratowali życia. Ich dni są podobne do siebie. Czym więc zasłużyli na wyróżnienie?

Nie o wyróżnienie tu chodzi, ale właśnie o pokazanie życia najwykniejszego ze zwykłych, a przecież innego. Robią to co wszyscy, ale lepiej, dokładniej, pełniej. Nie usławdamniają sobie, że choć im, tylko razem dobrze pracuje się, to w rezultacie dokonują czegoś więcej. Tworzą nowe stosunki między ludźmi. Wspólna praca — współodpowiedzialność i pomoc przenoszą i poza fabrykę. Kształtują kolektyw, wzajemnie na siebie oddziałują, i choć nie zdają sobie sprawy — wychowują się sami, kształtują postawy, jakie powinny przywieść ludziom w socjalizmie żyjącym. Ten proces dokonuje się powoli, z oporami, ale stale. Warto widzieć to w największym zyciu — w typowym, podobnym do innych, a przez nie zupełnie takim samym.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

str. 3



# WALIZKA z muzyką

Mówię: „Kiedy w warszawskiej „Muzie” przegrano mi płytę na philipskim adapterze — odbiór był znakomity. A kiedy tę samą płytę założyłem na łódzkiej „Bambino” — niestety wrażenie było nieporównywalnie gorsze...”

— To stary numer — odpowiadają mi w Łódzkich Zakładach Radiowych „Fonica” — opowiemy panu dalszy ciąg tego żywota. Nas także urażono kiedyś w Warszawie tym samym trikiem. Tylko, że my mieliśmy w teście płytę... produkcji amerykańskiej. Na naszym tanim „Bambino” zabrzmiała muzyka zupełnie dobrze, chociaż skala porównawcza — Phillips i Fonica — jest po prostu nie do przyjęcia.

Skończymy jednak z licytacją i spy chotechnika odpowiedzialności bo wiem problem jest zbyt złożony.

2.

Zacznijmy od technicznego abecadła. Na prawidłowy odbiór muzyki z winylowego krawka składa się kilka elementów. A więc równomierność pracy mechanizmu (obroty talerza itp.), tzw. główka czyli przetwornik dźwięku w języku techników zwany właśnie adapterem (bo adaptuje drgania na dźwięki), wzmacniacz, którego szumy własne nie powinny zakłócać odbioru oraz głośnik.

Wystarczy, że „nawala” jeden z tych elementów, żebyśmy powiedzieli — „adapter jest niedobry”. „Fonica” produkuje ok. 300 tys. gramofonów rocznie — poważna pozycja stanowiąc tanie gramofony w rodzaju „Narcyza”, podłączane do odbiornika radiowego.

I już w tym momencie uykają kontroli producenta dwa elementy — wzmacniacz i głośnik — nie wiadomo przecież czy użytkownik włączy adapter do taniego, popularnego radia o niskim pasmie częstotliwości dźwięku czy też do luksusowej superheterodyny. W zależności od tego różnice w jakości odbioru są oczywiste nawet dla laika.

Żeby nie było nic na głębie w „Fonice” włączono „Narcyza” z piosenkami Sławy Przybylskiej do radia pod tytułem „Kankan” a zaraz potem do aktualnie produkowanego, wysokiej klasy wzmacniacza do gitar elektrycznych. Nie da się ukryć, że słysząc te oczywiste różnice w odbiorze gólow jestem rozgrzeszyć bogu ducha winnego „Narcyza”, ale wątpię czy uczynią to nabywcy, którzy „Kankana” — owszem — mogą sobie kupić, ale gitarowego wzmacniacza za parę tysięcy na pewno nie kupią. Nie jest im zresztą potrzebny bowiem ich gramofony służą przede wszystkim do odtwarzania hałaśliwego big-beatu lub sentymentalnych tang, gdzie pasma częstotliwości nie są znów tak ważne.

Nie da się jednak ukryć, że wiek szósty tej 300-tysięcznej produkcji „Foniki”, to gramofony klasy popularnej, które nie znajdują uznania ani w Instytucie Tele i Radiotechniki, ani u koneserów. To prawda, ale elektroakustyk z Instytutu i koneser-meloman patrzy na ten problem przez pryzmat jednostek częstotliwości, niskich i wysokich tonów bądź przez pryzmat muzyki Beethovena czy Strawińskiego.

To surowe spojrzenie fachowców jest może uzasadnione technicznie i artystycznie, ale chyba nie społecznie. Gramofon służy przede wszystkim do odtwarzania muzyki rozrywkowej i tanecznej — setki tysięcy nabywców kupują go w tym właśnie celu. Popularne modele gramofonów muszą być więc tanie, a co za tym idzie nie legitymują się wysoką klasą. Ktoś, kto raz w miesiącu chce posłuchać Ireny Santor nie kupi gramofonu z przetwornikiem dźwięku marki Shur a 6 dolarów — w przeliczeniu na złotówki koszt przyjemności około 15 tys. zł.

Wyobraźmy sobie, że przemysł odzieżowy zaczyna produkować wyłącznie różne modele... smokingów, rezygnując z produkcji marynarek i spodni. Smokingów nosi się mało — spodnie są w powszechnym użyciu. To samo z adapterami. Gdyby „Fonica” skoncentrowała się na luksusowej, drogiej produkcji co by się stało ze społecznym zamówieniem na lekka muzykę, na piosenki?

Nie czarujmy się — nie ma na razie i długo nie będzie społecznego zamówienia na stereofoniczną symfonię z adaptera. A jeśli kiedyś taka chwila nadejdzie, to będzie w tym także ogromna zasługa muzycznego przedszkola, które mogło powstać dzięki „cza-cza-cza”, big-beatowi i tym pogardzanym adapterom za 600 czy 1000 złotych.

4.

Czy jednak „Fonica” nie produkuje smokingów... przepraszam, adapterów wysokiej klasy? Ależ tak, tylko, że kto je kupuje? Model stereofoniczny G-600 (jeszcze bez ceny i nazwy) zadowoliłby może nawet Jerzego Waldorffa, ale...

Zasadniczy element tego gramofonu — przetwornik dźwięku marki Shur kosztuje ok. 6 dolarów. Sami niestety tego elementu o tak wysokich walorach produkować jeszcze nie potrafimy — adaptery zaczęły się u nas kilkanaście lat temu i nie przedkopyjemy w tym względzie Zachód. Gramofon stereofoniczny G-600 to właściwie zestaw urządzeń — elegancka meblowa skrzynka z talerzem, regulacja nacisku na płytę, wzmacniacz, dwa głośniki... Prób na seria G-600 nie ma jeszcze ceny, ale nie jeździ ona chyba niżej 15 tysięcy złotych. Więc?

Jedno woleć, albo masowa walizka z muzyką za 600 zł, albo luksus gdzie już sama krzyżałowa wkładka z szafirem kosztuje 600 zł. „Fonica” nie rezygnując z masowości wykonała jednak serie tych luksusowych stereofonicznych zestawów.

Czytelnik zapyta — kto to kupi? Oczywiście, ani ty drogi Czytelniku, ani ja. Wiek kto? ZURIT krecąc nieco nosem oświadczył, że 1000 sztuk może wziąć. Czy sprzedaje? Jeśli nawet nie, to i tak nie ponosi żadnego handlowego ryzyka bo w Polsce istnieje na pewno 1000 salonów ZURIT, gdzie ewentualnie G-600 będzie można wstawić jako element stoiska z płytami. No dobrze, ale co z dalszą produkcją? Albo się produkuje, albo się w pliszki gra — nie można uruchomić drogiego ciągu produkcyjnego tylko dla tysiąca

czy nawet pięciu tysięcy sztuk gramofonów.

Mam zatem niejakie wątpliwości czy zarzut preferowania w „Fonice” tanich, popularnych modeli przeciwnej klasy jest zarzutem logicznym. Walizka z muzyką

A już tak zupełnie na marginesie to mówiąc o stereofonicznych gramofonach musimy sobie zdać sprawę z faktu, że właściwie nie ma w Polsce stereofonicznych płyt. Coś tam wydano, ale to na zasadzie jakśółki, która wiosny nie czyni. Jest to typowe błędne koło współzależności. Producenci płyt mówią — po co płyty stereofoniczne skoro nie ma gramofonów. Producenci gramofonów mówią — po co gramofony skoro nie ma płyt. W rezultacie zarówno stereofonicznych płyt jak i gramofonów mamy tyle, co kot napłakał. W „Fonice” parę lat temu wypuszczono serię „Stereo-260”, specjalnej popularności jednak nie zdołała. Stoi sobie taki egzemplarz w KMPiK — ponieważ nie ma odpowiednich płyt, odtwarza się na nim głównie mono.

5.

A więc między najpopularniejszym wśród odbiorców „Bambinem” a droгим G-600 mieści się cała gama modeli.

Niestety „Fonica” nie ma możliwości badania rynku i stąd nie wiadomo nic o modelach, które już poszły w Polskę. Były mianowicie w swoim czasie na rynku odbiorniki radiowe Carmen-Stereo. „Fonica” wypuściła więc na rynek stereofoniczny gramofon do tych odbiorników. I kamień w wodę — nie wiadomo jak się rozszedł, jak się u nabywców sprawują. Nikt tego nie zbadał, można tylko założyć, że ciższa na ten temat świadczy, że model był udany. Ale pewności nie ma.

Nieraz jednak lawina reklamacji jest ceną płaconą nowoczesności. Na całym świecie produkuje się gramofony z tzw. wyłącznikiem szybkościowym — jest to urządzenie nowocześniejsze, wygodniejsze, prostsze w obsłudze itp. Po prostu nie trzeba machać ramieniem adaptera do tyłu, żeby płyta zaczęła się obracać — tylko należy uruchomić odpowiedni przycisk.

Szef produkcji firmy „Supraphon” dziwił się kiedyś zwiedzając „Fonikę” — czemu wciąż robicie te stare katowe wyłączniki?

Ano właśnie. Wyprodukowano ulepszoną odmianę „Bambina” z nowoczesnym, szybkościowym wyłącznikiem. Posypała się lawina reklamacji — peknienia ramienia adaptera. Otóż odbiorca przyzwyczajony do włączania gramofonu przez odchylanie do tyłu ramienia adaptera... masowo je łamał. Ze co? Ze mógł przeczytać w instrukcji obsługi? Brat-Polak jest tak za pan-brat z technika, że z reguły instrukcji nie czyta, podobnie zresztą jak wie lu pracowników ZURIT, bowiem im też zdarzało się przy uruchamianiu „Luxtonu” łamać niesforne ramie, które nie chciało włączyć talerza.

W efekcie „Luxton” przerobiono, wracając do nieco archaicznego rozwiązania z machanym ramieniem. Tak więc kierownictwo „Foniki” zła mało się (jak ramie adaptera) rezygnując z nowego usprawnienia na rzecz starych przewyżczeń. Można mieć o to pretensje, ale trudno nie rozumieć. Chcieli dobrze a tu lawina reklamacji. Po prostu nie wytrzymali nerwowo.

6.

Ale jednak nie rezygnują. Zmienił kształt i polepsza się walory „Bambina”, choć nie ludźmy się —

pozostanie on nadal gramofonem popularnym — dla odtwarzania muzyki rozrywkowej — z nieco amputowaną gamą tonów. Otrzymał jednak „Bambino” lepszy przetwornik dźwięku, regulację nacisku na płytę oraz estetyczniejszą obudowę.

W „Fonice” wyprodukowano już także tańsza, choć równie elegancka wersja luksusowego G-600. Nazywa się ona „Delta-Stereo”, ale druga część nazwy jest nieco na wyrost. Stereofonicznie odtwarzać będzie można na „Delcie” wówczas jeśli za stosuje się stereofoniczny wzmacniacz (bagatelka!) oraz podłączy do dwu wysokiej klasy radioodbiorników.

Nie bardzo więc wierzę w stereofoniczne wykorzystanie „Delty” — niemniej jednak jest to dobry gramofon, który podłączony do dobrego radioodbiornika pozwala już na odtwarzanie muzyki klasycznej w przyzwoitym kształcie. W przeciwieństwie do G-600, którego to gramofonu nie da się stosować w małym, prywatnym mieszkaniu — „Delta” jest właśnie kameralnym, gabinetowym gramofonem także dla miłośników muzyki poważnej, klasycznej.

Na prywatkach i wieczorkach tanecznych zawsze jakiś „nie tancerz” zatrudniony bywa przy zmianie płyt. Niebawem straci on etat, bowiem w „Fonice” przygotowywane są licencje „Telefunkena” gramofon z tzw. zmieniaczem płyt. Przygotowuje się też „weekendowy kombajn” — adapter plus radio na baterie lub tranzystory. Ale czy ZURIT kupi? — martwią się w „Fonice”. W tzw. plener chadza się raczej w innych celach niż taneczno-koncertowe...

7.

A więc czy „szafa gra?” — bo i grające szafy „Fonica” produkuje.

Chyba jednak gra. Mamy gramofony lepsze — droższe i gorsze — tańsze. Ulepsza się stare modele, wpro wadza się do produkcji nowe... Te sto — sto pięćdziesiąt tysięcy sztuk wedruje rocznie do prywatnych mieszkań i to coś znaczy. Natomiast przykładanie miary „Telefunkena” czy Philipsa do naszych „Narcyzów” i „Luxtonów” to jednak nieporozumienie. Kiedyś chcieliśmy nazwać małowalorowym „Mikrusem” wyważać wrota otwarte już dawno przez małowalorowe wozy Fiata i Volkswagena. Skończyło się na bombie śmiechu i fiатовskiej licencji.

W produkcji gramofonów mamy do powiedzenia tyle, że są moce produkcyjne i naprawdę zdolna kadra ludzi. Natomiast konstrukcyjnie i technologicznie skazani jesteśmy na odkrywanie Ameryki w parę lat po Kolumbie. Żeby więc nie skończyło się na bombie śmiechu, trzeba korzystać z europejskich licencji. W końcu żaden to wstyd, jeśli korzystając będziemy dobrze i szybko. Tylko w ten sposób możemy nadać za europejskimi rozwiązaniami, technologia i moda — bo gramofony także jej podlegają.

Na marginesie: tytuł „Walizka z muzyką” jest tytułem niemodnym, bowiem aktualnie wyszły z mody gramofony typu walizkowego. Najnowsze tendencje w tej dziedzinie faworyzują model gabinetowy, mebelkowy — typu właśnie łódzkich G-600 lub „Delta-Stereo”.

Tak więc może niebawem nie tylko nabywca gramofonu będzie syty i rentowność produkcji cała, ale w dodatku będzie to się działo w majestacie elektroakustycznej mody.



## Panie Redaktorze

Tym razem w sprawach nieważnych — a może bardzo ważnych — zależnie od punktu widzenia. To taki temat na lato — relaksowy; — a może jednak niezupełnie relaksowy? I wcale nie o sprawach zawodowych, raczej o marginalnych, ale takich, bez których (moim skromnym zdaniem) sprawy ważne nie mogłyby w ogóle istnieć.

Ala do rzeczy: Chodzi o wieś Mokre — wieś niedaleko Przyglowa — bez elektryczności, bez kanalizacji i wszelkich udogodnień naszego wspaniałego wieku. Położona na rozległej skarpie, wymurująca się z lasu drewnianymi jak za króla Cwieczka domkami, od głownych traktów, gdzie rano świnią mówi cześć, wieczorem krowa dobranoć, i gdzie kury rozmawiają z sobą swobodnie przez cały dzień.

Skarpa obejmuje olbrzymią dolinę Pilicy, która przez zielone łąki, rozległe zakamie wije się aż po horyzont z lewej i prawej strony; zwierciadło wody zobu stron obramowane kępami gęstych krzewów i drzew; gdzieś tam w rzekę wrzyna się dziki plaż. Spokój, cisza i absolutny relaks! Po zgrzytliwej tramwajami Łodzi, hałaśliwej i warkoczącej, echa Pili-

nie są do tak, nieba i drzew, wśród których żyje. Dopiero po pewnym czasie widać, że ci ludzie twarde pracują. Walczą naprawdę o byt; wydzierają pracę ziemi pożywienie.

To nie wielkie miasto, gdzie istnieje ja możliwość ślękania się po powierzchni życia; — pozornie oczywiście — bo cena za łatwe życie w istocie jest stokroć większa, niż za trudne. I podziwiasz ludzi, których ambicja jest niezależność, poleganie wyłącznie na własnych siłach; nieogładanie się na znajomości, protekcji, czy odgórna pomoc. Tutaj człowiek sam decyduje o swoim losie; nie czeka na szczęśliwy zbieg okoliczności, nie czepia się cudzych klamek, nie pasyżuje. Jest coś imponującego w tym twar dym, uporczywym trwaniu, w zespoleniu z ziemią; — nielczenie na żaden fukc czy uzbieg, na żadną łatwą okazję, na życiową darmość, na życiową auto-stop.

Ludzie tu nie tykają uśmierających lekki pigulek; — sfrustrowanie jest im najzupełniej obojętne. Konieczności losu przyjmują jako rzecz naturalną. Zdają sobie sprawę z surowych konsekwencji życia; mimo prostoty smakowicie wiedzą, że jak sobie pośpiesz tak się wypiszą; otrzymasz zawsze to, na co zasłużyłeś. Nie wierzy się tutaj w cuda; — tu jest realizm; tu będziesz miał jedynie to, co wypracujesz.

Mokre jest dalekie od współczesnego przemysłu, od jego dewastacji, które niszczą życie; które trawia barbarzyńsko jego objawy. Czy nie można wymyślić przemysłu, który w biologiczny sposób

współżyłby z naturą zamiast ją dewastować, a co za tym idzie — niszczyć życie swego twórcy.

Przyznam się Panu Redaktorze, że trapi mnie obawa, że te myśli są bardzo nieprzepracowane i nie na czasie — i jakby osądził niedojen programowy postępować — wsteczne. Ale co człowiek zyskuje w zamian za swoje techniczne wynalazki, za ich rozpowszechnianie, za uniformizację techniczną? Coraz bardziej zwiariowany tywot, zatruty nie tylko chemikaliami, ale okrutny, nie liczący się z cudzym życiem sposób postępowania.

Czy rzeczywiście człowiek więcej wie, jest mądrzejszy, gdy leci odrzutem od człowieka idącego pieszo, który ma wtedy czas na obserwację życia i myślenia? Sądzi, że po ciężkich doświadczeniach, po przekroczeniu „bariery życia” zaczyna się brać przykład z natury, która w genialny sposób zatawila swój przemysł, w sposób biologiczny, zgodny ze sobą, nie działający przeciw niej — nie zadający jej gwałtu.

Czy nie jest czymś okrutnym, bezmyślnym i barbarzyńskim niszczenie wszelkiego życia w wodzie i na ziemi. Niszczenie roślin i wycofanie drzew przy drogach — rzekomo przeszkadzających ludziom spieszącym się w swoich autach; — spieszącym się do czego? Do szybkiej śmierci, do szpitala dla nerwowo chorych, do neurastenii, schizofrenii czy zawałów serca.

Mokre z punktu widzenia współczesnego przemysłu jest śmieśzną, błahą, zacojaną dzurą — nawet nieelektryfikowaną. Ale Mokre jest niesłychanie ważne dla odnowy

życia ludzkiego, dla dalszego jego trwania. Wychodzi na to — że w tej archaicznej wiosce widzę ratunek dla współczesnego, miejskiego człowieka.

Ze skarp widać zieloną, płaską dolinę Pilicy; ma tu powstać zalew, wielki zbiornik wody; — ogromne jezioro. Z niego popłyną nowe nitki wody do Łodzi. W obecnym stadium myślenia technicznego to konieczność. Ale w tym postępowym nieszczęście może w końcu będziemy mieć szczęście i wpa daliśmy na pomysł stworzenia przemysłu, działającego zgodnie z działającymi prawami natury.

Ala od uświadomienia sobie tego tak naprawdę upłynie jeszcze wiele lat, zanim człowiek stanie bezpośrednio przed grozą; albo dalsze istnienie albo koniec. Na razie Pilica, puszyste łąki po obydwu jej stronach i drzewa obsiadające jej brzegi są czarujące.

Uderzające porupły ostrego wichru odwracają liście drzew i krzewów jaśniejszą podszewką do góry; — przez zielony pejzaż przelatują ciemniejsze i srebrzyste smugi tak, że cała okolica drży jak żywe stworzenie. I zielone barany kraków pomykają z wiatrem wzdłuż Pilicy, olśniony kłaniają się do ziemi, a nurt wodny łuszczy się drobna i drzeczka jala.

Rzeka jest bardzo piękna; pejzaż, przez który przepływa — wspaniały. Jak długo?

Ano! — Już chyba nie tak długo, bo i tutaj już się zaczyna; terkoczących i kopczących motocykli jest coraz więcej.

Łączę wyrazy szacunku

WACŁAW KONDEK



# DZIEŃ w inkubatorze

Dalszy ciąg ze str. 1

10.30. — Profesor idzie! — krzyknął ktoś wpadając do pracowni.

— Tak wesoło! — wrzasnęło paru, jakby im profesor zabił osobistą krzywdę. — Pewnie ma jakieś zebranie...

Wchodzi niewysoki, starszy i łysawy pan w okularach. Wygląda ma bardzo sympatycznie. Wita wszystkich głośniejszymi słowami i zbliża się do pierwszej z brzozy osoby. Spogląda na modelkę i zaczyna popalać papierosa. Podbiega z zapalniczką chłopak, szybko podaje ogień profesorowi, który spokojnym pochyleniem głowy dziękuje.

— No tak — mówi profesor i przygląda się obrazowi mrużąc oczy. — Tak, No, zupełnie nieźle. Tylko, niech pan spojrzy... to... wyskakuje... ta czerwien. Niech ja pan zgasi, ona za mocno działa. Trzeba tylko zmruzzyć oczy, niech pan spróbuje... no, i widzi pan.

— Tak, tak — dodaje jeszcze podnosząc brwi. Stoł chwile w nachylnym bezruchu i odchodzi do innej osoby.

Chłopak po korekcie odwraca się do kolegi:

— Zupełnie coś innego mówił mi asystent. Diabli wiedzą kogo słuchać.

— Nikogo — słyszy odpowiedź.

W pracowni jest teraz w miarę cicho. Od czasu do czasu ktoś coś powie półgłosem. Słychać grzeszcy, spokojny głos profesora: „...proszę zmruzzyć oczy, bardziej całościowo, nieźle, zupełnie nieźle, proszę zmruzzyć oczy... i dalej malować właśnie tak...”

Zza ściany dochodzą odgłosy śmiechów.

Nagle wpada dwóch chłopców z sąsiedniej pracowni. Jeden trzy ma w ręku amerykańskie dzinsy. Zaczyna się ogłanianie, padają zagraniczne nazwy, ktoś się decyduje, się na jutro, narzekanie, śmiech, znowu hałas.

Profesor wygląda zza stąguli. Ktoś widząc to głośnie prosi o ciszę. Cała grupa wychodzi za drzwi. Na lawce w korytarzu hałasują dalej.

— Przerwał — ogłasza stanowczy głos.

Modelka budzi się i zmienia pozę. Zwiększa z materaca obrzytmie ciało. Wstaje. Stęknęła. Naclaga na siebie jakąś luźną, kretonową szmatę.

10.45. Na parapele siedzą trzy dziewczyny. Włoski ostrzyżone fikuśnie, tu grzywka w ząbek, tam kokczek jakby przylepiony. Jedna w garniturku o mdłym liliowym kolorze. Kląpkę szerokie bardzo, złote guziczki w dwóch rzędach. Spodniom nazwała się to ubranko. A oczy: z daleka dwie czarne plamy, bliżej patrzeć nie należy, bo trzy prawie centymetrowej grubości krechy, czarna, brązowa, niebieska i maźnieta jakiejś białej pasty wyjadała już mnielej uroczym i rzęsy posieplane wyrastają z czerwonych obrzezków.

Dziewczyny przyglądają się sobie uważnie, potównując makijaż i strój.

— Powiedz, jak długo to robisz codziennie, te oczy, Kristin?

— Ja po prostu nie zmieniam na noc. Tylko rano trochę poprawię i już. W Voguach są takie, widziałam — informuje przesadnie modulowanym głosem ta Kristin i zakłada na ucho okrągłego klipsa.

Sąsiednia lawka zajęta przez rozbawioną młodzież. Krzyczą coś jedni do drugich, z drzwi wypada dziewczyna z przeraźliwym piskiem, za nią utrzymywany w loczki blondynek. dziewczyna rzuca się między siedzące koleżanki, wszyscy zanoszą się od śmiechu. Jedna ze studentek zaczyna wykrzykiwać jakąś melodię big-beatowa, inni dołączają. Wrzask coraz większy. Ktoś gwizdnął na palcach, chwila ciszy, wszyscy patrzy w tamtą stronę, gwizd się powtarza, potem drugi i trzeci już gwizda wszyscy, każdy na inny ton, ci co nie umiela na palcach radzą sobie jak mogą samymi ustami, byle głośnie i mocniej.

Stofacy niedaleko adjukt z innej pracowni patrzy na nich dłuższą chwilę. Nie reaguje.

Przy oknie na początku korytarza siedzi kilka kobiet. W zniszczonych płaszczach, starych letnich sukienkach w kwiatki o wyblakłych kolorach. Mają nabrzmiałe żyłkami, gołe nogi. Włosy spłowiałe i rozochrane z ciemnymi odrostami. Zgarbione, z pochylonymi smętnie głowami rozmawiają ze sobą.

— Niech pani popatrzy: pracuję tu już tyle czasu, a tu nie się nie zmienia. Te studenty ciągle takie same głupie. Klóca się z człowiekiem, wymyślają. I wariaty, że Jezus...

— Tak, tak, przemadzały do wszystkiego. Okna otwierają, nie leżą się, że człowiek cały czas przeziebiony.

Do lawki podchodzi zgarbiona, z fwygniętą do przodu głową, chuda kobieta w okularach. Siada na miejscu zrobionym przez pozostałe.

— Kochana, powróty mi pani — zwraca się do niej jedna. — Mam kłopoty. Trzeba wiedzieć co człowieka spotka.

Koniec przerwy. Panie modelki rozchodzą się w różne strony. Ida pozować.

11.03. Ospale wracają do pracowni studenci. Podchodzą do stąguli. Niektórzy siadają na stołkach. Modelka rozbiera się za parawanem. Parę osób zaczyna malować.

— Niech mi ktoś poda rękę — prosi modelka. — No, rusz się, Jurek! Jesteś starosta, czy nie? Chłopak podchodzi i modelka oparta o jego rękę gramoli się na podium.

Jedna z dziewczyn chodzi po całej pracowni. Odsuwa oparte o ściane obrazy, odrzuca walające się po podłodze gazety i brudne szmaty, dochodzi do każdej osoby i zagląda do kaset. Jest zdenerwowana.

— Gdzie jest moja paleta, do licha ciężkiego! — krzyczy wreszcie.

— Przed przerwą miałam, tylko co wycisnęłam na nią farby. Znowu ktoś mi zasnął. Kupił sobie nie moga, cholera jasna! — rzuca bezosobowo.

Nikt się nie odzywa.

Ona szuka dalej. Znowu przedstawia obrazy spod ściany, patrzy za szafę.

— Złodzieje — mruczy do siebie.

— Moja droga — trzeba się przyzwyczaić. Tutaj każdy bierze, co mu potrzeba — spokojnie mówi jedna z malujących koleżanek. — Wzpraj znieczono mi rysunek, chyba najlepszy w tym semestrze. Ktoś potrzebował pinsek, odział mi go z deski i nie połozyl nawet na stole, tylko rzucił na podłogę. A tu przecież taki brud. Niektórzy forse wola wydać na wino, a potem kraść na. Nie ma na to sposobu. Z głupim pedziem, czy pinseka nie będzie się leciało do rektora...

Modelka przecięła się z drzemki:

— Która godzina, kochani?

— Za dziesięć minut przerwa — odpowiada ktoś.

Wszyscy biegną do umywalki, wybuchają krótkie, gwałtowne kiótnie, hałasy, wszyscy okropnie się spieszą.

11.00. Do pracowni wchodzi spóźnieła dziewczyna.

— Co, jeszcze jesteście? — pyta.

Maluje tylko dwóch studentów. Wiecej nie ma nikogo.

— Zaraz idziemy. A co ty będziesz malowała?

— Bo ja wiem, chyba nic.

Modelka obudziła się.

— To co, nie trzeba siedzieć do pierwszej? — pyta z nieśmiała nadzieją.

— Kochana, o pierwszej to ja bede daleko stad. Niech się pani zbiera — mówi jeden z chłopców zamykając kasetę.

11.30. Zbliża się pora zajęć popołudniowych.

W pracowni są już trzy osoby. Chłopak leży na posłaniu modelki, dziewczyny siedzą opierając nogi o skrzynki.

— Choroba, jeszcze pół godziny do zajęć. Co tu robisz? Niepotrzebnie przysłałam, rysować mi się nie chce. Nudno tu. O Jezus — marudzi jedna.

Z korytarza dobiega odgłos kroków. Drzwi otwierają się i wchodzi smukła, wysoka dziewczyna, bardzo czysto i elegancko ubrana.

— Cześć, dziewczyno! — woła od drzwi.

Leżący chłopak podnosi zarosniętą głowę. Broda, wasy i baki zastanawiają mu całą twarz. Ubrany jest w rozciągnięty, brudny sweter z golfem, dzinsy upatrane farbami, buty sterczące wysoko, zagraniczne, pełne dziurek i szyc, spłowiałe i za duże. Odzywa się nosowym głosem, z uśmiechem i podniesionymi brwiami.

— O, państwo pewnie dzisiaj jakiś cocktail urządzają, co?

— Wyobraź sobie, że byłam u fryzjera bez żadnego powodu.

— No, no, ja tam nie wierzę. Wytwórna suknia do tej fryzury i od razu widać, że córka dyplomaty — mówi chłopak.

— I co z tego? — dziwi się dziewczyna.

— Dla mnie nie — brodac odwraca się, dumnie unosząc głowę.

Wchodzi wysoki chłopak z rulonem pod pachą. Rozkłada na podłodze brytoli, w starej puszcze po konserwie zaczyna przygotowywać farbę.

— Co będziesz robił?

— Plakat informacyjny — odpowiada chłopak i zabiera się do malowania.

— A, prawda, przecież ty jesteś w zarządzie ZSP — mówi.

— Nie w zarządzie, a w Radzie Uczelnianej. Powinnaś wiedzieć, chyba że nie należysz.

— Właśnie należę, płacę składki co semestr, ale na razie nic z tego nie wynika. Tutaj to ZSP i tak nie działa, nie nie organizuje. Wasz pokój tylko jest stale zamknięty — wrzesza ramionami dziewczyna.

Chłopak podnosi głowę z wyraźnym oburzeniem.

— Głupstwa gadasz — mówi — a wycieczka do NRD? Dziesięć miejsc było wolnych, nikt prawie się nie zgłosił, nie pierwszy raz, a tanio było, prawie darmo.

— Wycieczka? Nie o tym nie wiem — dziwi się dziewczyna. — Czy w ogóle ktoś wiedział? Wiedzieliście? — zwraca się do pozostałych.

— Nie — wrzesza ramionami.

Zapada cisza, która przerywa wejście modelki.

O, Euzebia, i znowu praca. Trzeba spieprzać z tego wygodnego miejsca — odzywa się chłopak leżący na posłaniu. — Niech się pani rozbiera. Wymyśliłam nowa poze dla pani na dziś.

— Pan adjukt powiedział, że niezmieniona jest poza, ale jak tam chcecie, mnie wszystko jedno... — mamrocze gruba, rozochrana kobiecina, wchodzi za parawan i ściera wygniecioną sukienkę.

11.30. — Asystent idzie! — krzyczy wbiegająca do pracowni dziewczyna. Wszyscy pilnie ruszają do pracy.

Asystent: siwy, starszy mężczyzna. Z ubolewaniem kreć głowa, że tak mało osób znowu przyszło. Spogląda na listę obecności zawieszoną na drzwiach i zakreśla puste miejsca. Z listy wynika, że brakuje tylko trzech osób. A sala jest prawie pusta.

— Gdzie są ci wszyscy, którzy się tu tak ładnie podpisali? — pyta.

Nikt nie odpowiada. Asystent chodzi przez chwile między stągulami. Spogląda ze złością na rysunki. Mruczy głośnie:

— Zobaczmy pod koniec roku!

Chwila ciszy. Wszyscy rysują.

Ledwie wyszedł asystent, wpada trzech chłopaków. Jeden ma na sobie damską bluzkę w kwiatki z koronkowymi mankietami, spogląda na wszystkich z filmową pozą. Drugi w gumowym rybackim płaszczu z kapturem, na nogach wielkie gumaki. Twarz zielona z przepięcia. Odbija mu się, trzeć w różowych obcisłych spodniach w ślance błękitne paski. Zwraca się do modelki:

— O, królowa, piękność nasza, znowu tutaj? Eeh, w pani to się można zakochać!

Euzebia chichocze cienko i zakrywa wstydliwie oczy.

— E, co też kawaler... Ja jestem stara, a kawaler taki młody i ładny.

— Nic nie szkodzi, aby cieple i się ruszało, no nie? Ale mamy tu lenze cytrynki! — dopada stojącej niedaleko dziewczyny.

— Idiota! Chami! — krzyczy oburzona. — Cała frzyura mi pospu! Dwa pozostałi przyglądają się przez cały czas z arobota dowolnym poczynaniom koleki. Ktoś malujący obok odzywa się surowo:

— Paweł, jak ty się zachowujesz. Zabrałbyś się do pracy, nie miałobyś...

— Ja nie jestem po to, żeby pracować, tylko po to, żeby zarobić rok — pada sentencjonalna odpowiedź.

— Ma rację chłop przytakuje ten w rybackim płaszczu.

— Jasne — dodaje ten w damskiej bluzce. — A może się komu nie podoba?

17.00. Po przerwie, jeszcze godzina do końca zied. W pracowni rysuje tylko jeden chłopak. Reszta studentów zebrała przed pracownią na lawce. Grają w grychy telefon. Jeden pilny chłopak przysiadł na podłodze koło dziewczęcych nóg w białych butkach ze sterzającymi kokardkami. Bawi się tymi kokardkami, rozplata je, tulać głowę do szczupłych łudek. Malownicza grupa.

— Robimy składkę, prawda? — mówi ktoś.

Zapada cisza pełna złobkiego zamwienia. Przerwała ją dziewczyna z czarnymi prostymi włosami do ramion.

— Nie chyba nie stoi na przeszkodzie — rzekła poważnie. Można by coś wynieć. Będzie weselej. No, niech ktoś się ruszy. Ja datę cztery dychy.

Zrobiło się zamieszanie. Po chwili forsa już zebrana. Chuda dziewczyna trzyma pieniadze w ręku. Papierosa włożyła do ust. Mówi z przywrzonymi od dymu oczyma:

— Jest ponad dwieście. Co plemy: wódke czy wino?

— I piwo! — odkrzyknęto zgodnym wytrępowanym chórkkiem. Trzyosobowa delegacja podaje do pobliskiego sklepu.

17.40. Robi się nudno. Wszyscy palą papierosy. Niektórzy ziewają.

Wreszcie są oczekiwani. Niosą co trzeba. Pełna torba. Wszyscy wchodzi do pracowni.

Odbijanie.

Nalewanie.

Każdy trzyma już w ręku brudną musztardówkę z czerwonym błynem i butelkę piwa.

Dziewczyny wyciągnęły się na materacach dla modelek. Czmurka dymu pecznieje pod sufitem. Zaisniali właściwy nastrój.

18.00. Na podłodze, oparty o stalugę, siedzi chłopak. Patrzy na obraz, który wisł przed nim. Jedna brew podniósł do góry, zmarszczył czoło, przymrugzył oczy. Przygląda się tak z krymasem bogardw na ustach i wreszcie krzyczy:

— Ohydla! Krzysiek! To ty namalowałeś ten kicz! Kiedy się wreszcie nauczysz czegoś? Przecież na to patrzeć nie można...

— Wrzasnął ten Krzysiek, co myśle o twoim pacykarstwie!



— Zapomniałaś o Małgorzacie. Prywatna inicjatywa, czymś tak zwany zbyt... — dodał jeden z chłopców.

— ...zbyt mało pracy, zbyt dużo forsy — wtrąca drugi.

— A wpływowi znajomi, to znaczy niebezpośrednie biogostawienstwo? —

— To co, betka? — mówi jeszcze ktoś.

— Moi drodzy, co wy tu gładzicie — odzywa się Marita — najważniejsze to, co wczoraj profesor powiedział: „tutaj niezłolnych ludzi nie ma, dowiódł tego egzamin wstępny”.

18.45 — Komu się nie podoba, to niech idzie na medycynę — zwraca się mała blondyneczka do chudego brodacza. — A ty co uważasz?

— Uważam, że studia na akademii mogłyby trwać krócej.

— Ja tam jestem zadowolona, że to trwa pięć lat. Co bym robiła, gdyby nie te studia.

— Na razie studiuje i jakoś leci. Gorzej będzie po skończeniu. Trzeba potem jeszcze ze cztery lata czekać na zrobienie wystawy, gdzie przyjdzie dziesięciu znajomych, albo meczyć się nad wymysleniem jakiegoś nowoczesnego kotka, czy pieszka dla sklepów z pamiątkami. Znam takiego artystę co skończył budę pięć lat temu, a teraz maluje pasy na jezdniach...

— To głupie, co mówisz — obrażonym głosem odezwała się elegancko ubrana dziewczyna. — Ja nie będę malowała jakichś idiotycznych pasów...

— A resztą, nie macie o czym gadać. Na takie gadki jeszcze czas. Zie nie jest. Trzy dni temu miałam przemilych gości. Przez Janka tego z telewizji poznałam dwóch uroczych Włochów. Złaziliśmy całą Warszawę. Byli zachwyceni. Jadę do Italii na wakacje, przysła mi zaproszenie!

Przez chwile wszyscy patrzy na nią w milczeniu, wreszcie odzywa się ciemnowłosa elegantka.

— Ja podczas wakacji poznałam dwóch Francuzów. Jeździłam my jasnoblękitną Simką. Dziennie wydawali prawie tysiąc złotych. Ach... — uśmiecha się do tych wspomnień. — W lipcu wybieram się do Paryża. Ty byleś, powiedz mi jak się załatwia formalności!

— A będziesz miała utrzymanie? — brodac podniósł głowę. — Bo strasznie ciężko jest się utrzymać samemu w Paryżu.

— Ale przesiedziłaś bite dwa i pół miesiąca.

— Pewnie.

19.45. Rozlega się mocne walenie do drzwi. Wszyscy cichną. Z korytarza dobiega rozgniewany głos woźnej:

— Szczeniaki! Hołota! Wynosić się! Jazda! — krzyczy wściekła kobieta. — Mam za was odpowiadać! Znowu który przez okno wyskoczył!

— Już idziemy... Niech pani nie krzyczy... Przeszkadzamy pani, czy co? — odezwała się Marita. — Wstrętna baba! — dodała, ale już ciszej.

Wszyscy zaczynają się zbierać. Chuda Marita mówi półgłosem:

— To co, gdzie idziemy? Do Kamery, Fukiera? Macie jeszcze forse? Zaczęto szeptać między sobą. Okazało się, że forsy na lokal nie starczy.

— To chodźcie do mnie, maż wyjechał. Kupmy jakąś wódkę — proponuje Marita.

— Cudownie! Bomba jesteście! — ucieszyło się paru.

Schodzą do hallu, gdzie pod schodami wielki Mojżesz Michała Anioła siedzi w zakurzonej, kamiennej szacie, bez nosa, z brudnymi wielkimi nogami. Odwrócona ma głowę od przechodzących studentów. Patrzy smutnie na napis ogłaszający wystawę prac młodych talentów. Wielki fikus stojący obok łaskocze go liściami w bruch.

Studenti wychodzą. Głośnie mówią:

— Cześć!

— Baj, baj!

— Do jutra, do jutra!

Na dziedzińcu ciemno. Co chwila otwierają się drzwi, ukazując na moment żółta plamę ciepłego wnętrza, na której deszcz wytrwale zaznacza tysiące rytmicznych, ukosnych kreseczek. Orły nad bramą, przysłonięte gałęziami starej lipy śpią w ciemności.

ALEKSANDRA GAGANASZWIŁA



# Skandal na zamku Pumpernikiel czyli Baśń o oślim mleku

(Burlogroteska konfekcyjno-kosmetyczna na sezon ogórkowy. Tylko dla ludzi niepoważnych.)

## FRAGMENTY CZĘŚCI OSTATNICH

### Osoby:

- 1) Księżna Kurdegarda, żona biednego rycerza. Ktoś go? czytaj poniżej.
  - 2) Książę Rudomysł Roboam Blanco Rufino Fombona Alvarez y Cordoba da Pumpernikiel, biedny rycerz, maż i sługa swej żony, Kurdegardy, pan na 17.400 kilometrach kwadratowych, szesnastu miastach, pięćset osiemdziesięciu trzech wsiach, dwudziestu pięciu włościanach, hrabia na itd., itd.
  - 3) Ochmistrzyni.
  - 4) Oberdójmajster.
  - 5) Malwina, dworka-dojarka.
  - 6) Bernarda, j.w.
  - 7) Strażnik I — zarazem Trębacz, dziś nie występuje.
  - 8) Strażnik II, j.w.
  - 9) Zapowiadacz I.
  - 10) Zapowiadacz II.
- Razem: dziesięć osób i tysiąc głupstw.

Czym była, jest i będzie „Burlogroteska”?

**Zapowiadacz I:**  
Ubiegłego roku — o tej samej letniej porze i na tym samym miejscu — zostały przedstawione dwie części „Skandalu na zamku Pumpernikiel”.

**Zapowiadacz II:**  
Co to jest ten cały „Skandal”? Trzeba to ludziom wyjaśnić. W przeciwnym razie będą ciemni jak tabaka w rogu.

**Zapowiadacz I:**  
Tylko sobie nie ciemni! Dzisiaj ciemnych nie ma! Wszystkie są światła! A więc, jak ubiegłego roku, tak i ninie, jest to niescieniczny figiel-migiel wakacyjny nie do grania.

**Zapowiadacz II:**  
Tylko?  
**Zapowiadacz I:**  
Tylko do wakacyjnego czytania.

**Zapowiadacz II:**  
Ale ci, co czytali dawne odsłony, już zapomnieli; ci zaś, co wcale ich nie czytali, tym bardziej nie znają treści tych odsłon.

**Zapowiadacz I:**  
Jeśli chodzi o streszczenie poprzednich części, to o tym po tym... Mówmy przede wszystkim, czym była, jest — i będzie ta rzecz do wakacyjnego czytania... A więc, jak się już powiedziało, w pierwszym rozdziale będzie to figiel-migiel.

**Zapowiadacz II:**  
W drugim rozdziale?

**Zapowiadacz I:**  
W drugim rozdziale — mówiąc językiem handlarzy: „broch”... Lub mówiąc językiem przekupcy: „sia-ja”... A posilkując się gwara artystyczna lub naukowa, pseudoartystyczna, a także i pseudonaukowa — „chala”... „Chala” przez duże „c”... „Chala”, w której bliźniostwo pomieszane jest z powagą powagą z przelewaniem z pustego w próżne...  
**Zapowiadacz II:**  
Jak to czasem bywa i w poważnym teatrze.

**Zapowiadacz I:**  
...nierozwaga z nierozsądkiem, znakomita niedoskonałość z doskonałą miernością, werbalna lejba z słowaleństwem.

**Zapowiadacz II:**  
Trochę zwieźleć. Nie wszystko, co śmiertelnie poważne, musi być rozwlekle. Jeśli to ma być żart, co powiedziane, to rzeszonym zdaniem Szekspira, żart winien być zwiezły i lekki.

**Zapowiadacz I:**  
Gdyby tak powiedział autor „Snu nocy letniej”, to, żeby być w zgodzie z nim, a równocześnie naśladować jego barokowe, wielopiętrowe tryandy, należałoby do każdego współczesnego żartu dodać tego obu dowe... Obudowę w postaci drapa-cza chmur, jeśli nie przedmieścia.

**Zapowiadacz II:**  
Mówmy do rzeczy!  
**Zapowiadacz I:**  
Mówiąc do rzeczy, ta „chala”, czy li burlogroteska będzie nadal słowem lejwiskiem, w którym głupstwo sprzymierzy się z brednią... i wzniósłszy pod jedną pachę kretynizm, pod drugą idiotyzm jako czysty żart niedorzeczny sędzie na kolanach Melpomenie, będzie tej muzyce teatru stawiać różne propozycje, prosić ją o gorące uściski i inne przyjaźne świadczenia, niczego jej w zamian nie gwarantując. Ani cichego kąta na starość, ani klejnotów, ani przyodziewku, ani klejnotów, ani pięknych hałek; ani nawet pary zwy-czajnych chodaków na skórgumie; na co każda — nawet najprzewoito-sza muza — chociaż po cichu, to jednak zawsze liczy...

**Zapowiadacz II:**  
W duchu liczy, a na głos milczy... Ale cóż ta Melpomena?  
**Zapowiadacz I:**  
Nic. Ciegłem milczy... Ani słowem nie daje po sobie poznać, czy tak, czy nie... Bo do kogo ma się odez-wać, jeśli nie ma do kogo? Do żarta niedorzecznego? Do pure nonsensa?

**Zapowiadacz II:**  
(do czytelników, wzruszając ramio-nami): Czyli, jeśli dobrze rozumiemy, to logika w tym słoburlejogroteskowisku przestała istnieć.

**Zapowiadacz I:**  
Przestała istnieć! Urlopy tu jeno rzadza; wakacje, psia gwiazda, czyli kanikula... Czyli upał, który wysusza ludziom olej w głowach... Rozum dostał urlop!

**Zapowiadacz II:**  
Czyli mówiąc językiem Mickiewicza:  
**POLONEZA CZAS ZACZAĆ,  
PODKOMORZY RUSZA**  
(Wprowadzenie w treść)

**Zapowiadacz I:**  
Z dwóch pierwszych części, wydrukowanych ubiegłego roku, w tym samym miejscu i o tej samej porze, wynikało, że książę Pumpernikiel wybrał się w błędną podróż... Wybrał się, pozostawił na zamku swą żonę, Kurdegardę... Stomiana ta wdowa w niczym nie uchybiając swej dostojności...

**Zapowiadacz II:**  
ni uczynkiem, ni słowem, ni myśla...  
**Zapowiadacz I:**  
Jedno miała wciąż przed oczami:  
**Zapowiadacz II:**  
Swego pana mosterdzieja Pumpernika, który wrzeszcząc wrócił — i będzie służył bukietowi jej wdzięku;

**Zapowiadacz I:**  
Ale bukiet, jak bukiet. To bukiet! Niepotrzebna mu żadna oprawa, Kwiaty same świadczą o sobie.  
**Zapowiadacz II:**  
Żeby nawet najświetniejszej, która, by temu bukietowi nie chciała czegoś dodać...

**Zapowiadacz I:**  
Ta jakiś gustowny kołczyk... Owa zalotna muszka pod oko... Tamta wdzięczny paseczek... Ta znówu biała suknie z czarnymi liliami, do tego meblowy kolor włosów; mahon, palisander, cedr, heban.  
**Zapowiadacz II:**  
Zatem Kurdegarda omówiwszy z ochmistrzynią dekoracje miłosne, najbardziej stosowne na tę porę, gdy waszność pan modumdziej — książę wrócił, przystąpiła z kolei do omawiania składu uczty, jaka się odbędzie... Potem umyśliła wziąć kąpiel kosmetyczną w oślim mleku.

**Zapowiadacz I:**  
W mleku oślim dardanejskich.  
**Zapowiadacz II:**  
Ale umyśliła, nie licząc się z letnim upałem.  
**Zapowiadacz I:**  
Mówi ochmistrzyni do Kurdegardy:  
**Ochmistrzyni:**  
A więc, jasna pani, będziesz miała kąpiel na sto dwa.

**Zapowiadacz II:**  
Kurdegarda przykladając dłoń do uszu:  
**Ks. Kurdegarda:**  
Jeśli mnie słuch nie myli, to psi szczekają.  
**Ochmistrzyni:**  
Szczekają, aż się doszczekają.  
**Ks. Kurdegarda:**  
A z tą uczta co?  
**Ochmistrzyni:**  
Tak, jak mówiłam poprzednio. Więc zostana podane młode marny wane żubry, jako też dziłki... Nie braknie też ciętych, pardw i dropi... Rybacy nastawia wiewierze, napalają w nie karpia, jesiotrów...

**Ks. Kurdegarda:**  
Dziłki, młode żubry, to dla woja-ków jadło!... A gdzież konfektu dla dam? Gdzie bakalie? gdzie torty?  
**Ochmistrzyni:**  
Będą różne konfektu. Będą aniozowe kulbacki, biszkoptowe bezerasy, będą baumkuchy wysokie, że na konia będzie z nich można wsiaść. Będą petynetowe baby i koronowe.  
**Ks. Kurdegarda:**  
A tort aleksandryjski?

**Ochmistrzyni:**  
Jeśli ma być tort, to niech będzie taki, jak przed wyjazdem pana.  
**Ochmistrzyni:**  
Jeszcze piękniejszy będzie. W odpowiedniej chwili, a chwila wtedy będzie odpowiednia, gdy trębacz zagrają, wyjdzie z tortu chór chłopiat... Chłopięta te odśpiewają kantatę ułożoną przez Włocha Amigani. Pięć talarów kosztować to będzie i trzy dubiony.

**Ks. Kurdegarda:**  
A po kantacie?  
**Ochmistrzyni:**  
Po kantacie wyjdzie z tortu zastęp Grezynek z karlicami. I do wtóru lutni, tołumbasów i szalajam, te dziewczęta greckie będą rozrzucać złote pieniądże, pieczone figi, makagigi... lukrowane kajzerki, posrebrzane solodragi; karlice zaś wypuszczą nad stoty gąłbice skropione pachnidłami.

**Ks. Kurdegarda:**  
Jeśli wszystko się uda, to ci ze trzy siola dodam!  
**Zapowiadacz I:**  
Nareszcie trębacz obwieścili przyjazd księcia.  
**Zapowiadacz II:**  
Jakież on wyglądał po tej wędrowce? Od skwaru pustyni osmalili się na kolor tytoniu fajkowego. Od ciągłej jazdy konnej jego rogi upodobniły się do dwu obręczy... Ale nie stracił książę wigoru.  
**Zapowiadacz I:**  
Podtrzymywany przez giermków, ukłknął na jedno kolano — i mimo zmeczenia...  
**Zapowiadacz II:**  
Podobnie jak legendarny bohater, Roland, który chociaż oboma nogami już prawie na tamtych świecie, bo był śmiertelnie ranny, to jeszcze potrafił wygłosić taką ilość słów wierszem, że straszyłaby ona na mały artykuł wstepny...

**Zapowiadacz I:**  
Mimo więc znuzenia, książę wygłosił takie wierszowane przywitania:  
**Ks. Pumpernikiel:**  
O, Kurdegardo, tronie mego serca! Roznie, co pierś ma jak udziec przewiercasz!  
Diuzszo Friuli, Serdanii, Brewancji!  
Markizo Pionii, Brewalu, Brygancji!  
Konopi myśli moich złocista kądzie! Widziałem damy z samej Jokohamy Żelazno-pięte i zabytki święte; Wiatry widziałem ułożone w stosy, Deszcze wodzone przez skwary za nosy; Widziałem knieje, gdzie mra białe krutki, Gdzie włos na czworo siwe Mamełuki Dziela...

Sila widziałem, o moja królowo, Jako też serca wielka cesarzowol  
**Zapowiadacz I:**  
Książę asindziej mosterpan kleka na kolano (drugie) i z obu kolan wygłasza dalszy ciąg powitania:  
**Ks. Pumpernikiel:**  
Ale takiej, wspanialszej nad ambry i nardy, Arcyjeźmości księżnej Kurdegardy To nie widziałem. Pochyl się przeło nad mym zeszlum ciałem, Przyłóż ucho do piersi, posuchaj czy żyje Serce moje, co k'tobie jak tołumbas bije!  
**Zapowiadacz I:**  
Teraz obie wysokie kontrahujące

strony potwierdzają jedynostwo we wszystkich obchodzących je sprawach, a tymczasem w oślej stajence dworki-dojarki dokonują obciagu oślego mleka... Głos ma Malwinaj Malwina — dworka-dojarka: Ach, Bernardo! Bernarda — j. w.: Co, Malwino? Malwina: Tak chciałabym być na tym tura-nieju. Podobno lew Nimrud umyślnie został wystawiony na pokasanie przez właściciela psa, żeby książę miał więcej trudności z aportowaniem rekawiczki. Te rekawiczki ciśnie jasna pani w spienioną gardziel Nimruda.  
**Bernarda:**  
Jeśli kąpiel się uda, Oberdójmajster otrzyma parę talarów. Na pewno puści nas pod trybuny... Ach! Oberdójmajster patrzy na nas.  
**Oberdójmajster:**  
Stoję tak — i stoję, i patrzę na tę waszą zakichaną dojaczkę — i ma to mnie że złości nie pokreć... Przecież miałbyście śpiewać... Stojcie, gadacie o niebieskich migdałach... A tam księżna na kąpiel czeka... A jak śpiewacie, to tak, jakbyście wcale nie śpiewali... To ma być śpiew? To, co wy robicie? To ma być do-ba?.. Trzeba śpiewać z tempem, weselej — i z żywością!.. Malwinol dał no mi te Uszatkę! Ty weź te dardanejska Saracenko... I smykamy nie na cztery rączki, lecz na sześć!

**Zapowiadacz I:**  
Z oszej stajenki dochodzi do naszych uszu śpiew:  
Niech nam księżna blyszczycy jak srebro, jak mikiel, Niech się nią upaja nasz pan, Pumpernikiel!  
Niech polor fej cery swej cały krajj!  
Niech wrzesień jej życia zamieni się w majj!  
**Oberdójmajster:**  
Za panią matką pałecz idzie gładko. Teraz już trochę lepiej. Ale jeszcze nie to, co ma być!.. Rozsiadźcie się dobrze, sroki! Podrzućcie oślinom więcej melilotu, macierzan-ki, frangipanu — i trzy, cztery! Do-imy ekspresowo!  
**Zapowiadacz II:**  
Dojaczka idzie coraz lepiej: Dworki śpiewają: Płynie dojba, płynie jak rzeka w dolinie, Niech się Kurdegarda we Wenus rozwiniel Hojniej, Saracenko, skopiec mleczkiem darz! Za to nowy snopek róż stulistnych-maszi  
**Oberdójmajster:**  
To już jest prawie to, co chcę; ale jeszcze nie to!.. Nie będziemy obciagać mleka systemem pasemkowym, lecz — szwajcarskim! Imienia doktora Hegelunda!.. Lewa ręka — tak, prawa — tak. I robimy wysięgi. Do biegu! Gotowi!.. Trzy, cztery!

**Zapowiadacz I:**  
Mimo tych różnych systemów, zabiegów, natura rzadzi światem, a świat ludziom. Upały zrobiły swoje. Kąpiel kosmetyczna się nie udała. Podgrzane mleko, zmieszane z rańszym skisłym, ścięło się.  
**Zapowiadacz II:**  
Oberdójmajster, wiedząc czym to będzie pachnąc, rzecze:  
**Oberdójmajster:**  
A więc, Malwino, Bernardo, nie ma na co czekać. Tortury nie są przyjemnym widowiskiem dla tego, kto jest ich przedmiotem. Chybajcie z okna, a potem ja za wami!.. Bernardo, hajda!  
**Bernarda:**  
Niech waszność modumdziej da przykład. Przykład idzie z góry. Nie z dołu!

## JERZY URBANKIEWICZ

(Z DZIEJÓW ŁODZI)

# Pieńkowski i poprzednicy

Wojska pruskie wkroczyły do Łodzi jako tak na Gromniczną w 1793 roku. Piotra Drewnowicza, ówczesnego burmistrza wydarzenie to zaskoczyło, bowiem gazet nie czytywał. Nie czytał po pierwsze dlatego, że ich nie było, a po drugie — bo był nieśmiały. Najlepsze źródło informacji stanowił więc przejeżdżający podróżnik. Chyba, że wydarzenia nastąpiły szybciej niż podróżnik zdążył przyjechać. Tak właśnie stało się tym razem. Poszedł więc Drewnowicz wraz z radcą Sucheckim do karczmy, wypili po kwatere, sprawę rozpatrzyli, doszli do wniosku, że taka — widać — wola boska i wzięli do normalnych zajęć. Normalnie zaś zajęcia burmistrza i Rady Miejskiej w małym, rolniczym miasteczku, nie należały do zbyt skomplikowanych, po wejściu Prusaków nie było co wysilać się na zbytnią gorliwość, a poza tym — należało przeciwko ocieklaw jakimś zmian w sposobie zarządzania miasteczkiem. I zaszyli. Burmistrza Prusacy zwolnili, Radę rozwiązali, a Łodzią począł rządzić burmistrz policyjny, niejaki Sempft, wyznaczony z urzędu, a przez mieszczan nazywany po prostu „pludrakiem”. Jego następcą był Joseph Aufschlag, hochszapiel — jakby powiedziano półtora wieku później — nie z tej ziemi, który wiedział, jak osiągnąć z urzędu zyski, dostał od rządu to i owo, poczynił dzieki zajmowanemu stanowisku korzystne transakcje i miał się znakomicie nawet wtedy, kiedy powiew historii zrzucił go z burmistrzowskiego stołka.

Punkt zwrotny stanowiło utworzenie Księstwa Warszawskiego. Joseph Aufschlag przesłał władze Tomaszowi Jezewiczowi, sam zaś oddał się interesom prywatnym, jako Józef Aufschlag. Jego zaś następcą tym się wslawił

w historii Łodzi, że pogmatwał jej sprawy w sposób niewiarygodny, nie znał się bowiem na „Rachunkowości”, a zgodnie z opinią współczesnych „postępował za swym zdaniem, które... było ograniczone...”. Toteż długo miejsca nie zarządził, a urząd objął — też chyba na krótko — Antoni Czarkowski. Na jego kadencję przypada wydanie rozkazu sformowania Gwardii Narodowej, które to wydarzenie wprawdzie nie przysporzyło Łodzi wojennej sławy, ale wniosło do jej dziejów nieco barw, warto więc przypomnieć, jak to było.

W owym czasie — a był to rok 1809, biała gwiazda Napoleona, a dla jej rozjarzenia potrzebni byli fanatyczni żołnierze, których — jak uczyno doświadczenie — tak łatwo można było znaleźć w dorzeczu Wisły. Oddziały Gwardii Narodowej zorganizowane w poszczególnych miejscowościach, miały być tym wojskiem, które pomoże raz jeszcze zwyciężyć, a w najgorszym razie — osłonić tyły. Ale mieszczanie łódzcy, choć zapewne nie wiedzieli nawet, co to takiego San Domingo, nie wykazali najmniejszej chęci zdobywania światła, i pór-bór do Gwardii szedł bardzo niedołężnie. Jedno, z czym zgłaska zwierchność szybko się uporała, było dowództwo. Mianowicie na 514 ówczesnych, statystycznych łódzian, znalazł się jeden dzielny, a nazywał się... Józef Aufschlag. I on to został porucznikiem Gwardii, a jednocześnie rzecznikiem — jeśli tak rzecz można — blitzorganizacji owego oddziału. Sam natychmiast przywdział mundur i kaszkiet, przypisał do boku szpadę, że zaś był w Łodzi jedynym porucznikiem Gwardii, nazwał siebie „Plac komendantem”, za co burmistrz (a był nim już Szymon Szczawiński) dał mu po nosie. Kłopotów z Gwardią i jej porucznikiem by-

ło co niemiarą. Gwardziści mieli się mundurować i zbroić na koszt własny. Nie chcieli, nawet pod groźbą kary 20 kijów. Terminy skompletowania oddziału przesuwały z miesiąca na miesiąc, z roku na rok.

Miała Łódź ostatecznie 53 gwardziistów na przestrzeni jak pieciu. Uzbrowieni byli raczej skromnie, bo „pika, palaszem, bandoletem lub nareszcie kosa stołoca oprawna”.

W 1815 roku odebrano im broń i mundury. Zostali tylko w kaszkietach, co wyglądało raczej pociesznie, a potem zniknęli w ogóle. Jak powiedziałem wyżej, burmistrzem był wtedy Szymon Szczawiński, który miał do pomocy Radę Miejską złożoną z rajców mianowanych spośród zamożnych mieszczan. Sam splendor pływacy z takiego wyróżnienia musiał im starczać za wynagrodzenie, ale i czasu im to zabierało niewiele, nie umieli bowiem czytać ani pisać, więc i tak większość spraw załatwiał bardziej po tym wziedem wydrukowany Szczawiński. Nie najlepiej jednak pełnił swój urząd, a ostatnie jego uchybenia związane były z domem gminnym przy ul. Koscielnej. Mianowicie dom sponiał. Szczawiński kazał oczyścić pogorzelsko, kupić budulec, ale go potem rozdał mieszczanom i budowy nie zaczął. Właśnie wtedy odwiedził Łódź przez Komisję Mazowieckiej, człowiek, któremu przypisuje się stworzenie Łodzi przemysłowej. Rajmund Bembieliński i ten z miejsca Szczawińskiego zwolnił. Wyzaczył zaś na stanowisko burmistrza — Antoniego Czarkowskiego.

W porównaniu do poprzedników Czarkowski stał chyba intelektualnie najwyżej, a przed objęciem urzędu zął nawet egzamin, wykazując pewną biegłość w tym, co dziś nazywamy prawem administracyjnym. Pierwszym jego zadaniem było wyciągnięcie od mieszczan owych materiałów budowlanych roztrwonionych przez Szczawińskiego oraz zbudowanie pierwszego w tym mieście ratusza. Był to budynek drewniany z wieżyczką a stał przy ul. Koscielnej 3. Niedługo stanął jednak jednak sie-dziba władz miejskich a Czarkowski innego dokonał dzieła, którym się trwale zapisał w historii Łodzi, mianowicie opracował „Opisanie Historyczne oraz Topograficzno-statystyczne miasta Łodzi”, dokument dający wiele informacji o Łodzi z roku 1820 a wspominający też wcześniej sporządzone, nie istniejące dziś dokumenty z przeszłości miasta. Z powyższego można by sądzić, że współczesni również dobrze mieli miećmanie o swoim burmistrzu. W rzeczywistości jednak Czarkowski uplatł

się, czy też został wpłątany w jakieś niewyjaśnione sprawy nadużyć pieniężnych, co spowodowało, że i on został zdety z stanowiska. Niektóre zarzuty odparł, inne zostały przypisane pisarzowi burmistrza. Skrzywdzonym, co do sprawy rżnie — jak to się mówi — w pomroce dziejów i nie wiadomo z całą pewnością, czy należałoby portret Czarkowskiego powiesić w starym Ratuszu, czy też zamieścić o nim, by galerii ówów miasta przedstawić jak najkorzystniej. Jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę, że ławnikiem Czarkowskiego był jego następcą, Karol Tangerman, że zbliżyło się Powstanie Listopadowe, w czasie którego stosunki Polaków i tutejszych Niemców wykrystalizowały się jako wrozie, to kto wie, czy pod „rozróbą” ta nie kryło się zamierzone działanie kolonistów niemieckich, by ując władzę nad miastem w swoje ręce.

Sprawa samorządu, a więc zarządu miejskiego z wyboru zdawała się być bliska realizacji w roku 1831, sprzyjały bowiem temu poczynania Rządu Narodowego. Skompletowano nawet listę wyborców, ale wybory nie odbyły się, bowiem burmistrz, który miał swoich stronników na Starym Mieście, ich tylko wpisał na listę. Mianowit ten został rozszyfrowany, Jan Adamowski zorganizował opozycję i do wyborów w ogóle nie doszło. Ławników miał Tangerman tych samych, którzy pomagali w sprawowaniu urzędu Czarkowskiemu. Dwa z nich, Nebelski i Suwalski, to moczynmordy i okazali, które — być może, — pomogły w wykończeniu Czarkowskiego. Tangerman pozbył się ich. Ale w nowym składzie trzech ławnicy nosił nazwiska niemieckie.

Na kadencję Tangermana przypada Powstanie Listopadowe. Co się działo w ówczesnym mieście duszy, kiedy musiał wypełniać rozkazy Rządu Narodowego? Wypelnić przecież. A czy to porucznik Aufschlag nie przerzucił się ze służby w administracji pruskiej pod orły napoleońskie? Z drugiej jednak strony, choć tym razem sprawa była polskiemu sercu bliższa, łodzianie taki sam wykazali zapał do wojny, jak w czasach Gwardii Narodowej.

Już w grudniu roku 1830 odczytano z ambony manifest Rządu powstającego oraz rozbo-wszeczniono instrukcje dotychczas sposobu osadzania kos na sztorce, długości drążków do pik oraz grótoł. Karol Simek organizował Straż Bezpieczeństwa. Z Tytusem Kopschem omó-



## Rachunek

Arystoteles twierdził, że drachma ołowiu spada prędzej na ziemię od drachmy puchu, bo puch jest lżejszy, zwłaszcza, że z tego puchu rosną nieobliczalne skrzydła naszej wyobraźni.

Samica pewnego owada w okresie, kiedy nie nie je, składa jaja, których łączna waga przerasta wagę jej ciała, zwłaszcza, że z każdego jaja wypelza gasienica obżerająca do szczytu zielone pędy naszej intuicji.

Dwa razy dwa jest pięć.

## Mit

Najpiękniejszy z kolorów kolor dobrej woli, najjaśniejszy z promieni promień ufnej nadziei, on roztopia lód w sercach, w mrokach myśli świeci jak uran, z oprzędu mgławic odwija ziarno jutra, toczy dzieje ludzkie na kolach galaktyk.

## Pełnia

Jeśli poeta się nie jest, tylko bywa, to już nie dziwno, że Homer drzemał, że Mickiewicz list do cara fryzował, zaś Platon plótł ambage, gdy prawil o sztuce. O poezjo, tyś jest, gdyś jest. Gdy cię nie ma — usta stają się pokarmochłonna jama, nie membraną udźwięcznionych myśli, zaś syntaxis siccią pajęczyny, nie sekwencją akordów ku Pełni.

**Oberdójmaister:**  
Kierownik przedsięwzięcia — jak kapitan okrętu, który tonie — ginie na ostatku.

**Bernarda:**  
Malwino, nie ocłagaj się! Daj przykład! Tyś starsza!

**Malwina:**  
Ale twoje imię jest na „Be”.

**Oberdójmaister:**  
Nie klóćcie się! Nie ma o co! Diabeł nie będzie was brał w objęcia według kolejności alfabetycznej, czy według starszeństwa wieku, lecz zgodnie z kolejnością zgłoszeń.

**Zapowiadacz I:**  
Okrutny Oberdójmaister wypycha personel za okno, po czym sam kończy swój żywot. A zarazem burlogroteske

**Oberdójmaister:**  
Nie będę przecież czekał, aż mnie kaź ze skóry wywleczcie. Słowem wiazanym tak to się da wyrazić:

Nie będę przecież czekał na kata, O, pieska-niebieska człowieka!  
Tak trzy żywoty schodzą ze świata

Z powodu jednego mleka.

Miało mi kapnąć parę talarów, Próżna nadzieja i płona,  
Włazające klepki, bo wakacyjna Burlogroteska skończona.

wiono warunki dostawy płótna na koszule i poczęto organizować grupę osmiu jeźdźców, którzy mieli zasilić pułk Mazurów. Ale jakos to wszystko szło onornie. Jeden Karol Sänker zdobył się na pełny ekwipunek jeźdźca, oprócz zaś niego znalazło się zaledwie czterestu ofiarnych łodziar, którzy coś tam dali dla powstania.

W trudne dni poprzedzające upadek powstania powzięto decyzje, by użyć Strazy Bezpieczeństwa. Wyekwipowano ją jako tak, zapatrzone w beben ze sty o t i k a m i i oddział posłano do Łęczycy pod dowództwem Strzałkowskiego. „a tam, za zbliżeniem się wojsk (rosyjskich) w swej rejteradzie rozproszony, beben utracił”.

A na ratuszu łódzkim pojawił się wtedy napis cyrylicą: „Magistrat”.

Rokiem ważnym w historii władz miejskich Łodzi jest 1841. Wtedy bowiem zyskała status miasta gubernialnego, albo miasta II rzędu. Tytuł taki uzyskał jednocześnie Łęczyca. Jezeli więc dotąd mówiło się o Łodzi leżacej pod Zgierzem, to od tam można było mówić: obok Zgierza.

Zmiana ta wywołała specjalnie miłe uczucia w sercu ambitego burmistrza Tangermana, który teraz zwał się — panem prezydentem. Sama uroczystość wprowadzenia zaszczytnej zmiany odbyła się w ten sposób, że w dwóch kościołach były dzwony, a dwaj policjanci konni, poprzedzani każdy przez trzech trabaczy pojechali w dwie strony miasta i z braku lepszych narzędzi probakandy podawali te wiadomości napotkanym mieszkańcom ustnie. Potem komisarz obwodu obwieścił to samo przed ratuszem i wszyscy, uleżając wielkości chwili, poszli z chorągiewami cechowymi do dwóch kościołów i na dwa sposoby wezwali błogosławieństwa Bożego dla cara i jego rodziny.

Karol Tangerman cieszył się tytułem prezydenta zaledwie trzy lata, ostatnie trzy lata swego życia. Po nim zasiadł w ratuszu łódzkim Franciszek Traeger, posłacie wśród XIX-wiecznych wodarzy Łodzi chyba najciekawsza, choć nie wszystko, co jej dotyczyło, zostało wyjaśnione.

W jego to czasach Łódź zbliżyła się nismem wyslanym do cara a mówiąc o tym, że

Zmarł Konstanty Paustowski, wybitny pisarz radziecki,

wielki przyjaciel Polski. Autor tak znanych powieści jak autobiograficzne „Dalekie lata” czy też „Burziwa młodoc”. Urodził się w roku 1892 w Moskwie, gdzie od roku 1911 ogłasza pierwsze swoje utwory. Wiele z nich przyniosło mu światową sławę.

Był piewą romantyki pierwszych dni budownictwa socjalizmu w ZSRR (m. in. książka „Kara-Bugaz”, 1932), zasłynął jako znakomity nowelista i dramaturg, zaś cykl autobiograficznych utworów uczynił go jednym z najpopularniejszych pisarzy współczesnych. O swej pracy pisarskiej opowiada Paustowski w powieści „Złota róża” (1955).

Drukowana na str. 10 proza stanowi jeden z rozdziałów pasjonującej książki Paustowskiego „Burziwa młodoc”.



## Bez strachu

### SMUTNE DZIECIŃSTWO

Smutne dzieciństwo, trudne dzieciństwo, ludzkie bez uśmiechu — ludzie z uśmiechem trudnym, ludzie z uśmiechem smutnym, ludzie którzy są udręka dla siebie i dla otoczenia — to ci, którzy nagłe przestają się kłaniać znajomym na ulicy, nieoczekiwanie podrażniają z dziwnych powodów — nieoczekiwanie też godzą się i odnawiają zwyczaj wzajemnych pozdrowień z uśmiechem, oczywiście z uśmiechem smutnym i trudnym. Co do mnie bardzo sobie tych ludzi cenię — skłaniają mnie do ustawicznej samo-kontroli, do analizy własnego postępowania, do szukania właściwych, finezyjnych form współżycia — zawdzięczam im w dużym stopniu rozbudzoną wrażliwość, zmysł obserwacji, zwiększoną dyspozycję.

Wesołe dzieciństwo łatwe dzieciństwo, ludzie uśmiechnięci, ludzie z uśmiechem łatwym, bał samem dla siebie i dla otoczenia — to ci którzy zawsze kłaniają się grzecznie znajomym na ulicy. Zawsze pogodni, wymierni, racjonalni — nigdy nie przerywają raz nawiązanych dobrych stosunków. Uśmiechają się uśmiechem wesołym i łatwym. Co do mnie mało ich sobie cenię — skłaniają mnie do stabilizacji myśli i uczuć, uspokajają, usypiają we mnie to wszystko co winno być rozbudzone. Tracę w obcowaniu z nimi wrażliwość, skłonność do samokontroli — pograżam się przebywając z nimi w sen.

Chciałem wreszcie odnotować tę nagane i te pochwały, ale przecież nikt mnie nie powołał do ganiaenia i do chwa-

lenia. Nikt... na pewno nie ci weseli — ale mo że właśnie ci smutni i trudni... Bo przecież jeżeli facet wczoraj mi się grzecznie uklonił, a dzisiaj popatrzył na mnie wilkiem — a w okresie pomiędzy uklonem a wilczym młokiem nie poczynił żadnych uwag w rodzaju: „Obraziłem się na ciebie ponieważ...” „Uważam cię za nędznika gdyż...”, to facet ten dał mi do rozwiązania zagadkę — w każdym razie mnie zostawił rzecz do rozwiązania i do oceny, do pochwały i do nagany. Facet ten stawia mnie niezmiernie wysoko — czyni mnie sędzią zjawisk życia, a raczej sędzią jakiegoś sadu wyższego rzędu — sędzią sądzącym nie ludzi ale wyroki — ponieważ jego manifestowana obraza — była już osądem — negatywnym osądem pierwszej instancji, a osadzonym był człowiek — miano-wicie ja...

Wierzę, że po to aby narzucić komuś tak dy namiczny stosunek do ludzi trzeba wynieść z pierwszych lat swego życia trud i smutek — wartość bardzo cenne, rozrostowe. Wierzę, że aby kogoś balsamować ustawicznym spokojem, uciszać, utrwać — trzeba wynieść z pierwszych lat swego życia poczucie pogody i ocenę świata jako statycznego układu spraw łatwych. Ustawicznie spotykam przedstawicieli tych dwóch rodzajów — trudnych twórców i łatwych grabarzy — bowiem dy namika życia, jego trwanie jest sprawą siewców niepokoju, a statyczność śmierci wy maga uspokojenia i jest sprawą ukojenia, którego udzielić mogą weseli pogodni ludzie.

BERNARD SZTAJNERT

„obywatele miasta, zawdzięczając wielu dowodów dobrodziejstwa i względów opiekuńczego Rządu wystąpili z memoriałem do Tronu, uraszając, aby dla uwiecznienia tej sympatii ku Najmilosiejemu nunciacemu Monarsze, nadane zostało miastu nowe nazwisko: Mikołajew od imienia Najjaśniejszego Cesarza i Króla”. Sprawę dość długo walcowano, zwłaszcza, że istniała już miejscowość o takim nazwie. Ktoś radził, by nie wyrzekać się szczęścia i wobec tego nazwać Łódź Mikołajewskiem. Spór przerwał najjaśniejszy pan, gdyż wcale mu nie zależało na tym, by jakaś tam mielcina w Królestwie nosiła jego imię. Trudno przypuszczać, by Traeger nie uczestniczył w tym majstersztuku wazelinarstwa

Natomiast słowami podziwu można opisać poczynania Traegera w czasie kryzysu lat czterdziestych. Legalny i nielegalny nabylw towarów z zagranicy spowodował zastój w handlu, w ślad za czym fabrykanci znacznie ograniczyli produkcję. Spowodowało to niedze tak wielka i głód, że robotnicy zaczęli opuszczać miasto z całymi rodzinami w poszukiwaniu zarobku. Traeger stanął wtedy na czele komitetu, który zorganizował prace dla 786 osób. Kiedy kryzys minal, wyprodukowano tkaniny sprzedano, uzyskując nawet pewien zysk.

Nie można powiedzieć, by łatwo było Traegerowi sprawować władze. W roku 1861 miały miejsce wydarzenia zwane u nas pierwszym buntem robotników łódzkich, które z charakteru swego przypominały działania angielskich luddystów. I na rok ten przypada wiadanie przez Wielopolskiego ustawy o radach miejskich. W kraju różnie myślano o tej ustawie. Protestowano przeciwko niej w Warszawie, przed pomnikiem Kopernika, w Łodzi zaś w szynku Pfeffera na Starym Mieście. Tu mianowicie tkacz Godlewski wypowiedział własna o ustawie opinie. Wyraził poglad, że daje ona prawa wyborcze fabrykantom, w związku z czym posłał pod adresem Wielopolskiego kilka epitetów, które go zawiodły na ławę oskarżonych, gdyż jako więzie z rosyjskiego leksykonu, łatwo zostały zrozumiane przez przedstawicieli władz. Tam, gdzie epitet nie były dość soczyste, brakujące słowa podsuswał Godlewskiemu jego kolega po czołenku, Wawrzyniec Ernest. Został również aresztowany. Obecni w szynku na ośm podzie lali poglądy tamtych dwóch, gdyż prawo wy-

borcze Wielopolskiego rzeczywiście nie zostało stworzone dla nich, a jedynie dla właścicieli nieruchomości oraz tych, którzy płacili 60 rubli komornego lub zarabiali 180 rubli rocznie. Takich uprawnionych znalazło się w Łodzi 268 osób. Wybrały one 6 Polaków, 3 Żydów i 3 Niemców. Nieuprawnieni, a miasto liczyło wtedy ponad 30 tys. mieszkańców, jak umieli tak wyrazili swoja dezaprobatę dla wyborów, choćby gwizdaniem na widok radnych. Co najmniej w stosunku do nieciu radnych owe gwizdy nie były sprawiedliwe. Spośród nich ks. Jakubowicz został zesłany w kłab Rosji, natomiast Likiernik, Paszkiewicz Lipiński i Sudra wymanali z łódzkiego okręgu wojskowego — takie dotknęły ich represje ze sprzyjanie powstaniu.

Przewodniczącym tej pierwszej, pochodzącej z wyboru Rady Miejskiej został prezydent Franciszek Traeger. Na jego lata przypadło — jak widać — wiele wydarzeń ważnych. Jego sekretarzem czyli „płóto trzymalacym” był na tróla Tomasz Czuda i podobno sprawy trólaów polskich były bliskie sercu Traegera. Może dlatego skłaniał na siebie niechęć elementów niemieckich i rosyjskich, poczęto e w pod nim i wreszcie oskarżony o nadużycia, uciekł z Królestwa.

I oto wchodzimy w okres o tyle nam bliski, że jego pamiętki istnieją do dziś, w postaci co najmniej trzech nagrobków na starym cmentarzu katolickim: prezydenta Andrzeja Rosieckiego oraz powstańców poległych pod Dobrą.

Rosiecki pochodził ze starego łódzkiego rodu, którego przedstawiciele pełnił tu funkcje burmistrzów jeszcze w XV i XVI wieku. On sam niewiele zdziałał dla miasta, wybuchło bowiem powstanie a zawierucha wojenna skomplikowała sprawy Królestwa a wraz z nim — Łódź. Jednej z pierwszych powstańczych nowy zjawil się pod ratuszem oddział pod dowództwem ks. Czajkowskiego, rzucił rosyjskiego orla znad wejścia i zabrał kasę z 16 tysiącami rubli. Rosiecki dał się związać, by mieć wobec zaborców alibi. Nie uwierzono mu jednak i musiał w roku 1865 odejść. Zarząd miastem ufał wtedy w swoje rece Edmund Pohlens, pupil von Broemnsena, na pół zruszczony Niemiec, serdecznie nienawidzący Polaków. W tym samym czasie w kancelarii wspomnianego wyżej Broemnsena wysługiwał się i zbierał przesianki dla późniejszych awansów, aż do

stanowiska prezydenta Władysław Josafatowicz Pienkowski, reneat, odznaczony za „usmirenienie polskawa miastem”. Owa Rada Miejska z wyboru została rozwiązana w roku 1869.

W roku 1882 na lat 32 zasiadł na prezydenckim stołcu Pienkowski. Postanowili zrobić karierę i niewątpliwie ją zrobili. Został bowiem prezydentem, otrzymał rangę rzeczywistego radcy stanu a ponadto — przeszedł do historii anegdota łódzkiej, co też nie jest bez znaczenia. Anegdota pokazuje go jako tępego szuraka cara batluszki, jako kreaturę śmieśzną i ponura zarazem. Jego dewiza było, że za trzy wszechwładne czynniki na świecie: zandarmi, duchowieństwo prawosławne i armia. Robił wszystko, by być dobrze notowanym u cara i dlatego pieniądze z uboższej kasy brydzkiego i zaniebanego miasta posyłał do skarbu państwa, albo obracał je na dary dla carowej. Robił wszystko, by dowiedzieć, że on zawsze b i a r o n a d i o n v i, że on zawsze rad starat'sia. Jego poleblichkeit zapędem sprzyjała okoliczność, że car z gona często bywał w niedalekiej Snaie, można więc było posyłać kwiaty i urządzać serenady. To też dostał wymarzona godność rzeczywistego radcy stanu. Kupił sobie wtedy kilka mundurów naraz. Codzienny miał krwistoczerwona podszewkę. Zainteresowało go, czy mógłby na wzór widzialnych w Petersburgu generalów nosić do munduru galowego białe spodnie. Miał otrzymać urzędowa odpowiedź, że owszem, może. Ale pod spodem.

Bardzo się przeraził wiadomością, że dokonano zamachu na prezydenta Franci Faure'a. „O Boże! — zawołał — już się biorą za nas, prezydentów!”

Wykonane przez Lindleya plany kanalizacji i wodociągów przechowywał pod łózkiem w sypialni, uzasadniając te ostróżność faktem, że kosztowały mnóstwo pieniędzy.

Jego wysoka, sztywna postać pamiętano jeszcze w Łodzi międzywojennej. Pamiętano jego codzienne spacery po Nowym Ryнку i Piotrkowskiej. Na jego widok przechodnie uciekali i kryli się po bramach. Pienkowski uciekł z Łodzi wraz z armią rosyjską, a przecież starczyło mu czelności, by wrócić tu po Rewolucji i szukać pomocy u przwicieli. Zmarł w roku 1919 w nocy, co świadczy o ilości tych przyjacieli i szczerości ich przyjaźni.



## TRZYDZIEŚCI srebrników

Odwiędzia mnie kiedyś w redakcji pewna chórzystka. Zwolniono ją z pracy, jej zdaniem niesłusznie. Była rozczulona, rozgoryczona, zamłniona. Zwróciła się o pomoc i interwencję. Ludzka rzecz. Wspominam zaś o tym ponieważ użyła dość niecodziennej argumentacji mającej podnieść w moich oczach jej zawodowe kwalifikacje na wyższy poziom. Przyniosła z sobą plik zachodniemieckich czasopism — owoc wizyty w NRF. Były tam jej zdjęcia, wywiady, artykuły o niej. Proszę — wynikało z nich niezbitie — tam ją docenili, poznali się na niej, a u nas zwalniali z pracy za brak talentu i umiejętności. A w ogóle czy w naszej prasie robi się wywiady z chórzystkami. Solistów się nie zauważa, a co dopiero chór. I to jest prawda. Tylko z tą prawdą różnie bywa. W NRF z własnymi chórzystkami wywiadów się również nie robi. I to jest druga prawda.

Naiwność dodaje podobno człowiekowi wdzięku. Wstydlivość i delikatność i dobre wychowanie również. Właściwie nie miał przeciwko temu nie miał, gdyż są to enoty piękne i czarujące, tylko że czasem stajemy się ofiarami własnej subtelności, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z przeciwnikiem wyrażającym się w sposób filozoficzny i pozbawionym wszelkich skrępowań. Banalny przykład, który wyżej podałem ukazuje naszego przeciwnika od strony „nie-winnych” metod jego postępowania.

Naszym narodowym skrzywieniem jest rozpatrywanie wszystkiego pod kątem — słoń a sprawa polska. W swej poczciwości spoglądamy na świat przez pryzmat własnego tylko podwórka. Z trudem przychodzi nam wyobrazić sobie, że inni trochę inaczej na nas patrzą i potrafią dla swych wyrachowanych celów politycznych posługiwać się perfidią o jakiej nam filozofom znad Wisły nawet się nie śniło. Ale śnić się zaczęło.

Zachodni specjaliści od dywersji ideologicznej doszli do wniosku, że jednym z najgłębszych kompleksów Polaków jest kompleks niedoceniania („najtrudniej być prorokiem między swymi”). Nuże więc ten kompleks ob-

stawiać, rozwijać i pogłębiać bronią używaną w wojnie psychologicznej. W tym konkretnym wypadku instrumentem walki ideologicznej są nagrody, premie i wyróżnienia. Perfidia tej walki polega na tym, że szalenie trudno się przed nią bronić. No bo jakże wypada dowodzić, że jakiś nasz twórca otrzymał nagrodę niezastużenie, niesłusznie. Nie tylko, że sami go nie doceniliśmy — można zaraz usłyszeć — to jeszcze mamy za złe, że inni się na nim poznali. Ale, kto i dlaczego?

A jak jest w rzeczywistości. Na Zachodzie premie się po prostu naszym artystom przeważnie za inne wartości niż u nas w kraju. Wynikają one z różnic kulturowych, szczególnie na terenie kinematografii. Doszło do tego, że wielu naszych filmowców realizowało filmy wyłącznie na potrzeby jury zachodnich festiwali filmowych. Zrodziła się praktyka, że najpierw polski film oglądano w Cannes, a dopiero potem laskawo mogła go zobaczyć krajowa publiczność. Tylko, że filmy nagradzane na Zachodzie nasza publiczność dość często omijała. Podobaly się one zaledwie niektórym recenzentom. Z kolei te filmy, które nasi widzowie powszechnie akceptowali, określani recenzenci kopali. Nastąpiła charakterystyczna rozbieżność upodobań. Określeni krytycy zaczęli więc lansować przekonanie, że krajowa publiczność ma podły gust. W tak delikatnej materii jaka jest sztuka, oczywiście, każdy może się mylić. Nawet publiczność. Tylko, że nasza publiczność myli się rzadziej niż recenzenci. Niestety, w sytuacji kiedy następuje stały rozdźwięk między upodobaniami widzów a upodobaniami krytyków i reżyserów mamy chyba do czynienia z jakąś nieprawidłowością, nad którą warto się zamyslić. Zaczęliśmy więc ostatnio myśleć.

Sa wśród naszych twórców ludzie zdolni i utalentowani, są wybitni, a nawet genialni i nagrody im się słusznie należą nie tylko u nas w kraju, lecz na całym świecie. Cieszy nas i raduje każdy sukces zagraniczny polskiego

twórcy. Ale bez koncesji politycznej. Nagrody zresztą nie od dzisiaj są formą walki ideologicznej, szczególnie w sferze sztuki i w dziedzinie nauk społecznych, historycznych, humanistycznych. Prochu więc tutaj nie odkrywam. Nawet rzekomo absolutnie apolityczny Nobel stał się nagrodą preferującą obok wartości artystycznych również treści polityczne. Przecież znaleźli się ludzie wielcy duchem i formatem, którzy właśnie z tych względów potrafili jej nie przyjąć. Nie chciałbym być źle rozumiany. Nie, nie zachęcam wcale polskich twórców do zrzekania się zaraz nagrody Nobla. A swoją drogą... że też dotychczas żaden z naszych artystów nie potrafił odmówić przyjęcia nagrody przyznanej mu w NRF z pobudek wyraźnie judaszowych.

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Nieki odsetek komedii jest cechą charakterystyczną dla współczesnej kinematografii radzieckiej. Skok ilościowy dokonany w ZSRR w ciągu ostatnich dziesięciu lat ów komediowy kryzys zaostriżył jeszcze i uwydatnił. Tu należy pewnie szukać przyczyn niezwykle powodzenia w Związku Radzieckim „Miłosnych kłopotów” Kleosajana. Jest to komedia liryczna, zrealizowana na podstawie wodevillu Anatola Sofronowa pt. „Kucharka”. Mam jednak poważne wątpliwości czy film ten spośka się z aplauzem publiczności polskiej. Utwór powstały w 1965 roku, zrealizowany został wedle formuły komediowej obowiązującej w

Związku Radzieckim bez mała 25 lat temu. Wówczas to, jak pamiętamy, Grzegorz Aleksandrow swym „Świat się śmieje” zaproponował nowy model komedii, który wniósł świeży ton do radzieckiej produkcji filmowej. Dzisiejsza jednak publiczność edukowana na propozycjach komediowych Jacquesa Tati, Pierre Etaixa, de Broiki, Lesteta, na parodiach i pastiszach, nowych wariantach burleski, „crazy commedie”, zrymać się może na anachronizm typ humoru „Miłosnych kłopotów”. Po prostu receptura okazała się już nieco zwietrzała. Komedia powela eksploatawane wielokrotnie wątki i motywy — schemat fabuły opowiadającej o sercowych perypetiach sympatycznego kwartetu, okazuje się ulubionym motywem radzieckiej komedii. (Ze wspomnę tylko jedną z lepszych „kwartetowych igraszek” filmowych, niedysjersze „Cztery serca”). Podczas, gdy współczesna komedia rodząca soczewki skupiające istotne problemy natury moralnej, obyczajowej, czy filozoficznej, nieporozumienia „Miłosnych kłopotów” wynikała nie tylko z autentycznych lub bodaj prawdopodobnych konfliktów życiowych, lecz z tego co się boha-terom akurat wydaje. Albo ten klimat „moralności absolutnej”. W hollywoodzkiej komedii towarzyszącej nieudany romans, lecz się na orgiastycznych scenach „różowych baletów”, natomiast w radzieckiej komedii lirycznej, gdy ujrzymy chłopaka idącego przez zżęty las i grającego rzewnie na harmonii, wiemy, że reżyser w ten oto sposób ukazać nam pragnie ogrom miłosnych cierpień bohatera w pełnym ich skomplikowaniu. Oczywiście oba sposoby ekspresji mają się do rzeczywistości w stosunku identycznym. Najbardziej interesująca i wartościowa w filmie radzieckim jest jego bogata warstwa obyczajowa. Zarówno realia materialne jak i „szorstki” szorstki baszny styl bycia ludzi, którym nie wystarczyło czasu na studowanie tajników savoir-vivre'u powiadają mimo pewnych uproszczeń o autentycznym życiu radzieckiej wsi. Reasume jest to film, który może liczyć na przyjazne przyjęcie u sympatyków folkloru rosyjskiego i muzyki Mokrousowa.



## O FILMACH DOBRZE I ŹLE

**M**AJOR DUNDEE". Sama Peckinpaha. to film szerokoekranowy. W eastman kolorowym pejzażu, świat

nie zroszą fotografowanym rozgrywają się zuchwale przygody gromadki straconców. Anegdota filmu opowiada o krótkim epizodzie wojny secesyjnej. Gromada Apaczów pali wioskę białych, morduje też w bestialski sposób całą jej ludność. Tylko trzech małych chłopców ocala. Czerwonooskórzy uprowadzają ich, by wychować indiańskim obyczajem na własnych wojowników. Major Dundee wyrusza w pogoń, aby ukarać Apaczów. Przyjaciel majora po latach wspólnej walki znalazł się po stronie konfederatów z Południa, by toczyć teraz zacięty dyskurs polityczny. A więc reżyser serwuje nam szereg scen ilustrujących podstawowy konflikt Północy i Południa — problem dyskryminacji rasowej Murzynów. Próbuje odkrywczo udowodnić, że Murzyn to też człowiek, czyni to zresztą w sposób nader stereotypowy po wielajac schemat istniejący w amerykańskim filmie i literaturze. Na szerszą wzmiankę zasługuje inny fakt, otóż Sam Peckinpah jest Amerykaninem pochodzenia indiańskiego. Uważa on jest za apostoła współczesnego westernu a głównie nowego spojrzenia na tzw. sprawę indiańską w filmie amerykańskim. Western — amerykański film historyczny wytworzył pewien model wojownika indiańskiego, stereotyp skonstruowany w procesie mitologizacji historii przez amerykańskiego okupanta, a obowiązujący dziś powszechnie. Preparowanie historii na użytek prywatny jest zjawiskiem nader częstym, tak czynili hiszpańscy kronikarze mieniąc „barwną epopeją dzieł ności” krwawą wyprawę konkwistadorów Pizarra, nie inaczej też biali zdobywcy w Ameryce Północnej. W ten sposób powstał „model przeciętnego Indianina” (nie mówiąc tu o czysto grzeźnościowych, idealnych postaciach czarnooskórzych z powieści dla dorastającej młodzieży — Coopera czy Mayne-Reida), smutnego półgłówka, chytrego zebra, choć różniwego barbarzyńcy z kompromitującym skłonieniem umykającego z pola potyczki. Smutne jest to, że właśnie Sam Peckinpah nie wnosł żadnej nowej myśli do dotychczasowych relacji biały — Indianin, powata-za tylko „mit okupanta”.

ELŻBIETA ŁUKASIEWICZ



ENCYKLOPEDIA  
WSPÓŁCZESNOŚCI

**N**IEDZIELA, godzina 21.00" — sam tytuł zachęca, sugeruje sprawę tajemniczą. Niestety pod tytuł sprawę stawia jasno: „Wybór felietonów radiowych z lat 1964—1967”. Tym pod tytułem wydawnictwo „za latwilo” autora — któż tak znów tęskni za lekturą felietonów i to jeszcze radiowych. Jesli mi jednak przyszło wręczyć Andrzeja Szczypiorskiego

w reklamie jego własnej książki, zatyłowałbym ją „Encyklopedia współczesności”. Właśnie tak, bo ten radiowy felieton zrodzony z potrzeby chwili, mówi w ciekawy sposób o problemach i refleksjach, jakie nurtowały nas właśnie w ciągu tych czterech ostatnich lat. Mieszczą w sobie te lata i śmierć zna komitego, niepowtarzalnego malarza B.W. Linke, i rocznicę zgonu To-masza Maana i obrady Kongresu Kultury Polskiej i wietnamską tragedię...

Sprawy wielkie i małe — sprawy o wymiarze światowym i nasze sprawy polskie — otwarcie Teatru Wielkiego, refleksja październikowa w Święto Zmarłych na warszawskich Powązkach... Pamięć o Norymbdze, Rudolf Hess za murami Span-dau i Dni Oświaty — ludowy festyn u stóp Pałacu Kultury...

Felietony Andrzeja Szczypiorskiego pisane na zamówienie konkretnego dnia, konkretnego ro-

ku okazały się w tym ponad dwustutnicowym zbiorze ciekawa encyklopedia wydarzeń i spraw — encyklopedia współczesnego dnia Pol-ski i świata połowy lat sześćdziesiątych. Nie jest to lektura do poduszki, nie jest to literatura wagonowa. Ta książka jest lektura do przemyślenia i refleksji — dla czytelnika myślącego. Może właśnie dlatego wydawnictwo „skalkulo-wało” nakład na... 4 tys. egzemplarzy.

Andrzej Szczypiorski „Niedziela, godzina 21.00” „Czytelnik” 1968, cena 11 zł.

### OPOWIADANIA DRASTYCZNE

**U**KAZAL się właśnie wydany pośmiertnie tom opowiadań Jana Brzechwy, poety i satyryka, znanego dotychczas z jednej tylko książki prozy, autobiograficznej powieści „Gdy owoc dojrzewa”.

„Opowiadania drastyczne”, bo taki tytuł patronuje siedmiu krótkim utworom, które złożyły się na tę książkę, nie stanowią jakiegos remanentu z teki pisarza, jak to na ogół dzieje się przy ineditach: wi-dać w nich świadomy, autorski zamysł. Są jed-nolite w nastroju a na-wet w tematyce: są to bowiem opowiadania o niesamowitej, na ogół nie spełnionej miłości. I na tym zresztą polega ich „drastyczność”, o tyle myląc, że nar-cacja jest ścisłona, sub-telna, prowadzona cien-kią kreską. Nie wszędzie zresztą udaje się to Brzechwie osiągnąć w równym stopniu. Tak na przykład utwór pt. „Wielki Aleksander Gor-don”, który opowiada o samotności artysty, naj-bardziej zbliża się do „drastyczności” w potocznym znaczeniu tego słowa; jest to notabem najslabszy punkt tej interesującej książki. Prawdziwym mistrzem prozy okazuje się Brzechwa w króciutkim opo-

wiedaniu pt. „Uszy”, gdzie inspiracja jest znane powszechnie zdanie z życia Van Gogha. W kilku utworach wielki wpływ na życie bohaterów mają tragiczne przeżycia okupacyjne i wojenne — one to jeszcze bardziej płaczą ich i tak dostatecznie splecione losy. Ale na-wet w tym wypadku tematem wiodącym jest nie spełniona miłość

K.F.

Jan Brzechwa: „Opowiadania drastyczne”, wyd. „Czytelnik”, W-wa 1968. Str. 227, cena zł. 16

### KLAMSTWO I CZARY

**K**TO nie czytał pełnej ciepłego uroku książki „Wyspa Artura” ma teraz okazję zapoznać się z twórczością jej autorki, znanej włoskiej pisarki, Elsy Morante. Umożli-wił nam to „Czytelnik”, wydając jej wcześniejszą powieść pt. „Klam-

stwo i czary”. Dobrze się stało, że książkę wy-dano w okresie wakacyjnym, bo trzeba trochę czasu na jej prze-czytanie. Jest to dwulo-mowa powieść-rzeka, a więc gatunek, po który czytelnik sięga nie bar-dzo chętnie, właśnie z powodu objętości. Mimo to warto się z nią za-poznać ze względu na niepowtarzalny klimat i osobliwe postacie boha-terów. Na tle realiów z codziennego życia południowej prowincji Włoch i dokonujących się tam przemian spo-lecznych, autorka snuje swoją opowieść o trzech pokoleniach kobiet, zwia-zanych nie tylko pokre-wiństwem, ale podobnym impulsywnym i trudnym charakterem. Nieudana miłość wyzna-cza drogę życia niemal wszystkim bohaterom; uwikłanym w rozgrywkę pełne kłamstw i okrucieństwa. Pisarka przedstawia te sprawy, aby ukazać czytelnikowi samotny i okrutny ko-niec, który czeka każ-dego, kto nie umie po-

godzić się z własnym przeznaczeniem i szuka dla siebie życia fikcyjnego, kłamstwo i fan-tazję traktując jako prawdę. Dziwni są bo-haterowie powieści E. Morante, ale ta właśnie dziwność i odmiennosć pasjonuje czytelnika, który zdecydował się na tę lekturę. Trzeba dodać że proza włoskiej pisarki świadczy o dobrym opanowaniu pióra, czego dowodem są rów-nież nagrody przyznane jej za obie wspomniane tu, powieści. Na koniec wiadomość z gatunku ploteczki. Mężem Elsy Morante jest popularny Alberto Moravia. I to jest jeszcze jeden powód, aby sprawdzić, jak pisze jego żona.

B.M.

Elsa Morante, „Klamstwo i czary”, „Czytelnik”, 1968, cena t. I/II — 50 zł.







# WIOSNA nad Wieprzem

**W dniach wojny szczególnie miła jest cisza.**

Lublin był pełen tej ciszy. Halaśliwe życie wojenne przechodziło obok miasta, jak przechodziły obok dworca lubelskiego, prawie nie zatrzymując się, wojskowe pociągi.

Dworzec kurzył się machorką, drwonił maniekami, dudnił tupotem butów i stukaniem karabinów. Ale wystarczyło podejść szeroka ulica do miasta, a zaraz cisza i zapach rozkwitłego bzu otaczały człowieka. Zdejmował czapkę, wycierał czoło z odcisnietą na nim przez twarde otok czerwona prześia, wzdychał i mówił sobie: „Ależ nie, to po prostu majaczenie w gorączce! Żadnej wojny z pewnością nie ma i nie było!”

Człowiek podnosił głowę i widział, jak nad dachami przelatwały Jerzyki. Lekkie chmury nabywały z białej dymki i odpływały w taką samą białą dal, nie odbierając ziemi ani jednego słonecznego promienia. Promienie te przedzierały się przez podobne do serduszek liście bzu, kładły się na płytach chodników i ortzewały je słabo, po wiosennemu.

W ogrodzie Saskim orkiestra dęta ćwiczyła urywki z oper. Wśród ustalonej nad miastem ciszy dźwięki orkiestry rozlegały się daleko. Gdzieś w uliczce, zbliżającej do rzeki pomiędzy parkanami z zaopatrzonymi w wazutkę furtki, można było usłyszeć znajoma melodię: „Ty półdziesz górę, ty półdziesz górę a ja dolinę...”. Nad furtkami wisiały kute w żelazie latarnie. Gałęzie bzu zwisały zza parkanów. I bezustannie, od rana do wieczora, dźwięniły srebrne dzwony.

W Lublinie zastała nas Wielkanoc. Wielkanocne dni nastąpiły do zieleńki i kurzu niedawnej bitwy. Ale w czystość i jasność znajdowaliśmy w kawałku waty z zakrzepłą krwią, wsunięty za rączką hamulca, to niedopalki papierosów, żutte doszyczące do bólu, które wpadły za półkę w cieniu.

W nocy poszliśmy na rekurencję do kościoła Bernardynów. Wszystko tam było bardzo teatralne — ministranci w koronkowych koczach, góry bzu koło przybranego w białym brokat drewnianego Jezuska, siwy księża spiewający pod nosem łacińskie pieśni, burzliwe huczenie organów.

W oczach modlących się kobiet widać było tylko jedno — fanatyczne oczekiwanie cudu, ogromna nadzieja, że może to pulehne Dzieciatko, alba biała Niewiasta z gęstymi rzęsami — matka tego boskiego niemowlęcia — sprawi, iż na świecie zniknie wczepująca praca i nędza i wreszcie będzie można rozprostować nocy nad balia pełną rozdnanej bielizny i uśmiechnąć się do słonecznika błyszczącego tęczą w mydlinach.

Religia była dla nich słodkim samozukiwaniem się. Był to świat bezpłodnej fantazji dla zmęczonych ludzi. Ludzie ci nie widzieli innego wyjścia i dlatego z takim zaciekłym fanatyzmem wierzyli, wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew całemu doświadczeniu życiowemu, iż sprawiedliwość wcielona jest w postaci chudego włościana z Galiilei, w obraz Boga. Ale z niewiadomych powodów ten Bóg, wymyślony przez ludzi, by im pomóc orientować się w krwawym trudzie i zamecie ludzkiego istnienia, wciąż zwlekał, wciąż milczał i nie wtracał się do biegu życia.

A mimo to wierzone mu, chociaż bezczynność tego Boga trwała od wie-

ków. Pragnienie szczęścia było tak wielkie, że pojeździe szczęście ludzie stali się przeniesionymi na religię, włożyli w te lśnące organy, w dym kadzidła, w uroczystą modlitwę.

Pierwszego dnia Wielkanocy poszedłem z Lola i Romaninem daleko za miasto, nad brzeg Wieprza. Rzeka niosła czystą wodę wśród oszpeconych pol. Trzciny odbijały się czarnymi ścianami w tej głębi. Nad trzcinnami latały malutkie mewy.

Dobrze było iść ubita polną drogą w nieznanym kraju i nie wiedzieć, dokąd ta droga nas zaprowadzi. Niebieskie kwiaty cykoriai kołysały się z obydwoch stron drogi. Na naszych oczach z głębi nieba wyłaniały się śniegowe urwiska chmur.

I nikt — ani wtedy nad Wieprzem, ani potem w ciągu całego życia — nie mógł mi objaśnić, skąd się niekiedy biorą nagle porwy szczęścia wówczas, kiedy nic szczególnego nie się dzieje.

Byłem wtedy naprawdę szczęśliwy. Nad brzegiem Wieprza stała chałupa ze słomianą strzechą. Na płocie wisiała rybacka sieć. Siedzieli na niej brązowe drożdżki i wydziobywały uschnięte wodorosty.

Ptaki przestraszyły się nas, frunęły z hałasem do góry i zbudziły niemiłowicie, które spało w koszyku-kołysce na przybzie pod oknem.

Dziecko zaczęło płakać. Z chałupy wyszła młoda wieśniaczka w podkaszanej pasiastej spódnicy. Zobaczyła nas i przystanęła złożyćwszy ręce na pierśsiach.

Bury pies leniwie wyłaził spod peknitego koryta, podszedł do przybzy i ziewając zajął się zdziwieniem do kołyski. Przekonawszy się, że wszystko w porządku, siadł i spoglądał na nas starymi żółtymi ślepiami, zaczął wściekle wydrapywać pachy.

— Precz, Burek! — zawołała cicho kobieta, wzięła dziecko na ręce, odwróciła się do nas i twarz jej zalała takim serdecznym uśmiechem, że mimo woli odwołaliśmy uśmiech, ale nie mogliśmy powiedzieć i tak staliśmy w milczeniu.

Kobieta nieśmiało zaproponowała nam mleko. Podziękowaliśmy i weszliśmy do chałupy.

W chałupie wszystko było drewniane — nie tylko ściany, podłogi, stół, ławki i łóżko ale i talerze, grzebiek na oknie i lampka oliwna przed obrazem. Na oknie leżał drewniany widelec. Te drewniane rzeczy potęgowały wrażenie ubóstwa i czystości.

Lola wzięła dziecko, a gospodyni zeszła do piwnicy i przyniosła stamtąd zapocony dzbanek z mlekiem.

Wyłaził stół ścieraczka, mocno pochylony się przy tym, i na jej złote włosy padł odblask słońca.

Patrzyłem na te włosy — fajste i delikatne. Gospodyni poczuła moje spojrzenie i podniosła na mnie oczy — zielonkawe i zmieszane. I z tego szczęścia, i z innych jeszcze oznak zrozumiałem, że w tej chałupie zadomowiło się ciche szczęście.

Dlategoś pomyślałem o tym, kiedy spojrzalem na sufit. Wisiał tam mały zyrandol z cienkimi woskowymi świecami, ułożony z suchych kwiatów. Zamiast lichtarzy umocowane tam były duże pasowe słówki ostu i do tych słówek przymocowane nie opalone świece.

— Co to? — spytałem gospodyni. — Jak śliczna rzecz! — To zabawka — odrzekła rumieniąc

się gospodyni. — Nie można tych świeczek zapalać. Mój mąż zrobił to, żeby w chałupie było weselej. Jest koszykarzem. Wyplata z wierzbiny koszyki i taborety, a niedawno ułóżył dla pańienki Jaworskiej parasolki od stońca.

Romanin nie wiedział, co znaczy „parasolki”, i bardzo się zdziwił, kiedy mu wyjaśniłem, co to jest.

W tym czasie otworzyły się drzwi i na progu stanął młody, wysoki wieśniak.

Biały skórzany serdak, wyszły zielonymi niemi, wisiał, zarzucony nie dbale, na jego ramionach. Wieśniak był bardzo chudy i uśmiechał się tak samo nieśmiało jak i gospodyni.

— To Staś, mój mąż — powiedziała młoda kobieta. — Ale nie taki jak inni meżowie.

Staś ukłonił się w milczeniu, położył w kacie wiązki lyka, siadł przy stole i z uśmiechem przypatrywał się nam wszystkim po kolei.

Za otwartym oknem śpiewały skowronki. Widać było, jak trzepocząc skrzydełkami, unosily się prosto do góry z zielonej pszenicy i znikaly w błękitnie.

Staś popatrzył przez okno i uśmiechnął się.

— Nasł pomocnicy — powiedział. — Skowronki.

— Dlaczego pomocnicy? — spytała Lola.

— Rozweselała ludzi, kiedy ci pracują — odparł Staś, wciąż tak samo łagodnie się uśmiechając. — Sam nie widziałem, ale podobno jest jeden skowronek ze złotym dziobem. Ich przywódcą.

— Stasiu! — zawołała z wyrzutem gospodyni. — Kto to wymyślił coś takiego?

— Ludzie tak mówią — odrzekł Staś. — Może skowronki uratują nas od wojny, jak to było za króla Janka Srogiego.

— Nie trzeba ludziom opowiadać bajek — upomniała gospodyni.

Staś nie się na to nie odezwał. Tylko wciąż tak samo uśmiechał się i uśmiechał, postukując palcem po stole.

— Ano, co? — powiedział po chwili milczenia — kto nie chce, niech nie

wierzy. A kto uwierzy, temu może będzie lżej żyć na świecie. Król Janko Srogi poszedł na wojnę z sąsiednim państwem, a w tym państwie mieszkali sami chłopci, orali ziemię i siali zboże. Wyszedł przeciwko rycerzom Janka z widzieli, w białych siermiągach. A rycerze mieli na sobie miedziane zbroje i grali ci rycerze na miedziane trąbach, a miecze ich były naostrzone z obydwoch stron i mogły za jednym zamachem przerabąć wolu. Niesprawiedliwa to była wojna — taka niesprawiedliwa, że ziemia nie chciała przyjmować ludzkiej krwi. Spływała ta krew po polach, jak po szkło, do rzeki. Ginęli chłopci setkami, dionely ich chałupy, szalone z rozpacz stawały się żony. A wśród tych chłopów żył stary garbus-muzykant, który na skrzypczkach własnej roboty grywał wo wesołych. I ten garbus powiedział: „Sa na świecie różne utaki, nawet rajskie, ale najpiękniejszy ze wszystkich jest nasz skowronek. Bo to jest chłopski ptak. Opiewuje on zażycie i szczęście. Opiewuje oracze, żeby im było lżej orać, i kosiarzy, żeby przeweselać dźwięk ich kos i tym rozweselić ich serca. I te skowronki mają przywódcę — młodego, najmniejszego, ale ze złotym dziobem. Trzeba posłać do niego po pomoc. Nie da on chłopom umrzeć czarna śmiercią, Uratuje was wszystkich, bracia, i wasze żony, i dzieci, i zielone wasze pola”. I posłałi chłopci gońców do tego skowronka.

— Jakich? — spytała nasze gospodyni.

— Różnych. Wróble, jaskółki i nawet łyszego dziecięca — tego, co przebił dziobem na wyłot drewniany krzyż na kościele w Lubartowie. No, i — Staś pociążył dokoła filiternym wzrokiem — przyleciały do chłopskiego państwa tysiące skowronków, usłady na dachach i mówią do kobiet: „Co byście wy, matki i żony, siostry i oblubieńce, co byście dały za to, żeby się skończyła ta wojna?”

„Wszystko oddamy! — zawołały kobiety. — Biercie wszystko, do ostatniej okruszynki chleba!” — „A, skoro tak — mówił skowronek — to zaraz działaj wnieście na pastwisko za was wszystkie kłębki weny i nieł do haftowania, jakie tylko macie schowane po komorach”. Kobiety tak też zrobiły. W nocy tysiące skowronków zleciały się na pastwisko, chwyciły kłębki tych nici, pomknęły z nimi ku wojsku Jana Srogiego i zaczęły całymi chmarami latać dokoła tego wojska i rozmawiając kłębki, opłatywać rycerzy niemi, tak jak pałak oplatywał muche pniecyną. Z początku rycerze rwali te nici, ale skowronki opłatywały rycerzy coraz mocniej, do-

półki nie padli ci rycerze na ziemię i już nie mogli ruszyć ani ręką, ani nogą, tylko wypluwali wene, które im napchało im się do ust. Wtedy chłopci przedeflowali z rycerzy zbroje, odebrali miecze, nawalili rycerzy na wozy, odwieźli na granice swojej ziemi i rzucili tam, za rzeką, do parowu, jak śmiecie, które się zwala na kupę. A sam Janko Srogi tak się natykał strzępków weny, że zszedł i uduślił się, ku wielkiej radości wszystkich dobrych ludzi.

Staś umiął na chwile.

— I my byśmy powinni, proszę pa-nów — powiedział z uśmiechem — poszukać tego skowronka ze złotym dziobem.

Wysłyszmy z chałupy Stasia pod wieczór. Gospodyni odrowadziła nas do szopy lubelskiej. Staś został w domu. Stojąc w otwartych drzwiach chałupy patrzył za nami i puszczał kłębki dymu z fajki.

Gospodyni niosła na rękach dziecko i mówiła, że Staś zupełnie nie jest taki jak wszyscy, i że nie powinniśmy mieć do niego urazy.

Na skrzyżowaniu dróg pożegnaliśmy się z gościnną wieśniaczką.

Słońce zachodziło za Wieprz. Nad milczącymi już teraz łąkami i polami zamiast słońca podnosił się srebrzawy żłab nieba, waski sierp księżyca.

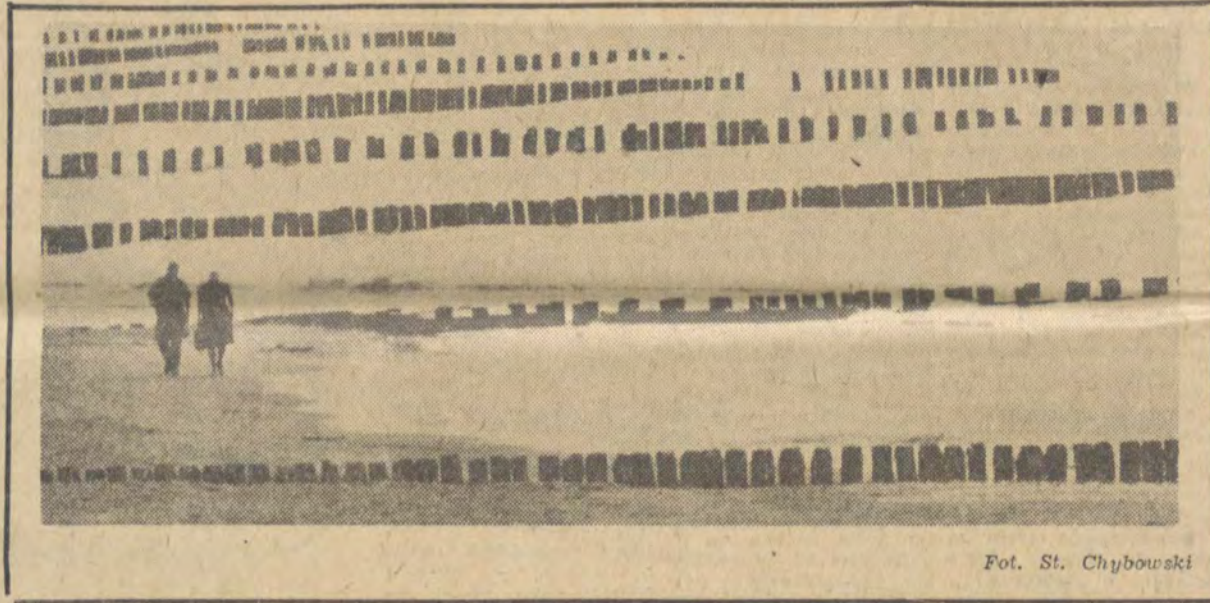
Kobieta podała mi rękę. Nie wiem dlaczego, ale nachyliłem się i pocałowałem te szorstką, pachnącą chlebem rękę. Kobieta nie cofnęła jej.

— Dziękuję! — rzekła po prostu i podniosła na mnie spokojne oczy. — Proszę nas koniecznie odwiedzić. Napiekę państwu naleków, a Staś nalewi w Wieprzu ryb.

Obiecaliśmy przyść, ale nazajutrz pociąg nasz wysłano do Siedlec, a stamtąd do Warszawy i więcej nie zobaczyłem ani Stasia, ani młodej kobiety z dzieckiem. Żal za tym długo krężył mi serce, sam nie wiem dlaczego. Może dlatego, że zarówno ja, jak i wielu moich współczesnych, nie miało podówczas w życiu nawet takiego prostego szczęścia, jakie przynosiło w udziale tej młodej polskiej wieśniaczce.

Przełożył:

JERZY JĘDRZEJEWICZ



Fot. St. Chybowski



## Lewym okiem

### ZA TRANZYSTOREK, ZA BLUZECZKĘ!

Pewien czeski dziennikarz ogłosił niedawno w prasce, że adaptuje dziecko i da w zamian samochód. Na ogłoszenie to otrzymał ponad trzyście ofert! Po czym naturalnie nie skorzystał z żadnej, napisał natomiast mocny i jasny artykuł o zaniku instynktów macierzyńskich, o batwochwalczym kulcie samochodu, o rozkładzie uczuć rodzimych i o powszechnej żądzy posiadania przedmiotów.

Nieraz z oburzeniem czytaliśmy wiadomości o handlu dziećmi gdzieś w Potudnowych Amerykach, w krajach zacofanych — a także w krajach przodujących co do stony życiowej, ale bazujących wciąż na wilezych prawach silniejszego. A przecież chęć zmiany własnego dziecka na samochód to właśnie zwyczajny handel, tym

szpetniejszy, że na pewno nie powodowany nędzą rodziców. Nikt nie marzy o samochodzie z nędzy, marzenie takie zjawia się u ludzi dobrze lub bardzo dobrze urządzonych. Co myśleć o tej sprawie?

Metafizyczne pojmowanie sensu życia nadawało mu przez tysiąclecia aspekt heroiczny. Łatwe, spokojne, szczęśliwe i pełne przyjemności, a wolne od wyrzeczeń życie doczesne nie było najważniejsze, warto było z wielu rzeczy rezygnować, aby zarobić na szczęście wiekuliste. Dziś wiemy już, że wszystko musi się dokonać, wszystkiego trzeba doświadczyć na tym świecie, w ciągu marnych kilkadziesiąt lat. Dziecko daje nam ogromną sumę radości, wzbogaca, uszczęśliwia nasz na tej ziemi przelotny pobyt. Ale dziecko może też bardzo przeszkadzać, utrudniać, ograniczać korzystanie z uciech świata. Są ludzie, którzy pytają: w imię czego mamy się na to godzić?

Skoro wszystko mierzy się tym jednym kryterium: sprawia mi przyjemność, czy nie sprawia mi przyjemności? — to i wychowanie własnego dziecka staje się problemem, podpadającym tej samej ocenie. Nie hawi mnie ten trzeci potomek. Lepszy byłby Fiat. A może zwykła Syrenka. A nawet tranzystorek. Kto weźmie dziecko za tranzystorek?

Nie ludźmy się, wiele tysięcy matek oddałoby swe dzieci także za darmo. Niektóre pewnie by jeszcze dopłaciły, gdyby ktoś dał takie ogłoszenie do prasy. Wiele tysięcy innych kobiet oddałoby jednocześnie samochody i dużo, dużo więcej, żeby mieć własne dziecko.

W pięknym, szwedzkim filmie „Księżniczka”, bohaterka decyduje się na pewną śmierć własną, byleby urodzić dziecko. Marzenia o tym człowieku, którego się nie zobaczy, wzruszają swą elementarną prawdą, nauką a uniwersalną. W filmie francuskim „Pamiętnik pani doktor” radość kochanków, szczęście małżonków przesłania jak zhora nieustannie czające się niebezpieczeństwo zajścia kobiety w ciąży. Mój Boże, i to jest też prawda. Której z tych prawd przyznać rangę pierwszeństwa.

Nie ma już innej odpowiedzi: dzieci powinny przychodzić na świat wyłącznie wtedy, kiedy rodzice tego pragną. We wszystkich dyskusjach o antykoncepcji nawet najpoważniejsi od tych spraw fachowcy, jak seksuolog doktor Godlewski („Życie płciowe człowieka”, 20 zi), mnóstwo trudu zadają sobie, aby dowiedzieć, że zapobieganie nie jest nieetyczne. Nie wiem, czy wielu jest takich, których trzeba o tym przekonywać. Większość czeka po prostu na praktyczne, skuteczne, dostępne, przystępne rozwiązanie problemu. Podobno można by coś przyspieszyć. Przyspieszajmy!

Przyspieszajmy, zanim eksperymentalne ogłoszenie czeskiego dziennikarza nie zamieni się w stałą rubrykę o zamianie dzieci na samochody, magnetofony, wycieczki zagraniczne i stylowne bluzki. Po co dopuszczać do dewaluacji ostatniego dobra, jakie mamy: ludzkiego życia?

CWIEK